

Nie bez przyczyny pewnie obie te pasy występują na parze. Ryba puzi się, puzieć oba głowu. Ale związek obu tych serprze nie jest rzeczywistością nie zawsze bywa jak proporcja prosty. Na zawodach w Celje do podium podeszli coraz to inni polski działacze, by dekorować lekkoatletów. Niestety, na najwyższych szczeblach polscy zawodnicy bywali rzadko. Wyniki też mieli niegietne. W tydzień później, na lekkoatletycznych Mistrzostwach Polski, wyniki były o wiele lepsze. Ale medale i dyplomy wręczał jeden i ten sam działacz. Może gdyby mistrzostwa odbywały się za granicą byłoby ich więcej?

Lekkoatleci zrehabilitowali się — przynajmniej częściowo — za ostatnie porażki. Kolej na działaczy.

A wszelkie motywacje, nawet tak przewrotne, jakimi popisuje się pani Maria — stwarzane dla usprawiedliwienia opryskliwości, niegrzeczności i nieuczciwości ekspedienta — wydają mi się po prostu szkodliwe społecznie. To handlowcy mają prawo obniżać swoją pracę, masę wszystkich innych pracowników, którzy nie chcą się poddać okropnej eksploatacji, która ma służyć pracy ma znośić fochy sprzedawczyń. Wszędzie obowiązują logika, o czym w swoich skromnych trzech grozach staram się często napomknąć.

A nawet tych, którzy napisali do mnie listy w sprawie fejletonu pt. „Węstehnienie do Rzekieckiego”.

po dał do wiadomości, że w
torek umieszczono na sta-
wisku startowym na Przy-
godzie Kennedy'ego rakietę
osną typy „Saturn 1-B”
raz z pojazdem „Apollo”,
zostaną ewentualnie
wzięte w misję ratowniczą
zestronautów amerykań-
skich przebywających na
podkładzie stacji orbitalnej
„Skylab”. Start rakiety ra-
towniczej odbył się w wy-
padku, gdyby pojazd „Apol-
o”, na którego podkładzie z-
ronauci przybyli do „Ski-
ba” okazał się niesprawny.



K. Barcikowski na Wybrzeżu Gdańskim

Zastępca członka Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR Kazimierz Barcikowski gościnnie przyjechał do Gdańska, aby wziąć udział w spotkaniu z młodzieżą z Wybrzeża. Według opinii gospodarzy województwa, tegoroczne żniwa należą do rekordowych.

J. Goetz o rokowaniach z NRF

Negocjator układu CSRS — NRF, wicepremier spraw zagranicznych, Jiri Goetz, udzielił wywiadu dziennikowi „Rude Právo”, w którym nawiązał do trudności, występujących w rokowaniach z NRF. Rokowania mają być kontynuowane 20 sierpnia w Bonn. J. Goetz wyznał, że różnica poglądów, jaka zarysowała się w toku rokowań przeprowadzonych 9 i 10 sierpnia w Pradze, dotyczy Berlina Zach. Delegacja NRF postuluje, aby w aneksie do układu o tzw. problemach humanitarnych znalazła się formuła, że CSRS i NRF nie mają żadnej umowy o pomocy prawnej; tym bardziej nie ma takiej umowy w stosunkach z Berlinem Zach.

NRD — NRF

Agencja ADN poinformowała, że zgodnie z propozycją rządu NRD z dnia 7 czerwca br. rządy NRD i NRF postanowiły rozpocząć 21 sierpnia br. w Berlinie rozmowy o uregulowaniu w formie układu stosunków prawnych między NRD a NRF.

Wybór U Thanta

Uczestnicy odbywającego się w Genewie posiedzenia plenarnego Światowej Federacji Stowarzyszeń Przyjaciół ONZ wybrali we wtorek jednogłośnie na przewodniczącego tej organizacji, byłego sekretarza generalnego ONZ U Thanta.

Dyplomata Izraela — persona non grata

Norweskie MSZ opublikowało we wtorek komunikat, w którym uznało jednego z członków ambasady izraelskiej w tym kraju Yigala Eyal'a za persona non grata, w związku z jego pociąganiem z dwoma Izraelczykami oskarżonymi o zamordowanie Marokańczyka Ahmeda Bouchika.

Stosunki handlowe Wschód — Zachód

Amerykańska Izba Handlowa opublikowała oświadczenie 12 czerwca, w którym pochwiliła rozwój stosunków handlowych między Wschodem i Zachodem. W oświadczeniu podano, że w dniach 25-31 sierpnia br. delegacja Izby Handlowej złoży wizytę w Związku Radzieckim. Celem wizyty jest omówienie sprawy dalszego pogłębiania relacji amerykańskich stosunków handlowych i współpracy przemysłowej.

POGODA

NA MAPIE POGODY: Nad Europą panuje rozległy wyż barometryczny z centrum w rejonie południowego Bałtyku. Pogoda w nasztatku się w masie powietrza polarnomorskiego.

OD TATR DO BAŁTYKU: Na ogół niewielkie zachmurzenie. Nadal stosunkowo niezbyt ciepło. Temperatura najwyższa podczas dnia w granicach 22-24 st., a w nocy 6 do 8 st. Wiatry słabe, zmienne.

PROGNOZA DLA TURYSTÓW: W Tatrach zachmurzenie umiarkowane, okresami duże. Maksymalna temperatura dzienna w szczytowych partiach 5 st., w nocy tylko 1 st. Wiatry umiarkowane z kierunków północnych.

WIEŚCI Z WZASÓW: W całej Polsce była wczoraj piękna pogoda z niewielkimi zachmurzeniami. Głównie, szczególnie w górach, występowało przejściowo lekkie zachmurzenie. Nigdzie nie notowano ani przedłużonych opadów, ani burz.

WZORAJ NA TERMOMETRZE: O godzinie 13 meldowano: Szczecin 25, Poznań 24, Wrocław 23, Świnoujście, Katowice, Kłodzko 21, Ustka, Gdańsk, Olsztyn, Białystok 20, Suwałki, Lublin, Przemyśl, Rzeszów, Kielce, Łęka, Tarnobrzeg, Kraków 19, Bydgoszcz 18, Zakopane 16, Śnieżka 10, Hala Gąsienicowa 9, Krasnopol Wierch 4 st.

W STOLICACH EUROPEJSKICH: Madryt 30, Paryż 29 (1), Londyn 28, Lizbona 27, Sztokholm 25, Budapeszt, Belgrad 24, Helsinki, Kopenhaga, Wiedeń 23, Praga 22, Bukareszt 21, Oslo 18, Moskwa 16 st.

BIOMET INFORMUJE: Sytuacja biometeorologiczna korzystna, warunki drogowe dobre, rano widzialność ograniczona lokalnie. (ort)

Święto Ludowej Republiki Konga

Depesza H. Jabłońskiego

Z okazji święta narodowego Ludowej Republiki Konga, przypadającego w dniu 15 bm., przewodniczący Rady Państwa HENRYK JABŁOŃSKI wystosował depeszę gratulacyjną do prezydenta Republiki majora MARIENA NGOUABIEGO.

Dokładnie przed trzydziestu laty uzyskała niepodległość obecna Ludowa Republika Konga. Rocznicę tego wydarzenia obchodzona jest w tym kraju jako święto narodowe.

Przypomnienie niektórych faktów z historii pozwala uzmysłowić sobie jakie przemiany dokonały się w Kongu na przestrzeni ostatnich stu lat. Wspomnieć więc trzeba, że obszary po obu stronach rzeki Konga przez wiele dziesięcioleci pozostawały pod okupacją francuską. Rozpoczęła się ona formalnie 3. X. 1880 r., kiedy to kraj opuszczony został przez francuską ekspedycję kapitana de Brazza. Tym samym Konga przeszło w skład Francuskiej Afryki Równikowej, a w 1910 r. ogłoszone zostało kolonią. Stan ten trwał do 1958 r. Wówczas Zgromadzenie Terytorialne Konga uchwaliło przekształcenie kraju w republikę w ramach Wspólnoty Francuskiej, a także zdecydowało o przeniesieniu stolicy z Pointe-Noire do Brazzaville. W styczniu 1959 r. Republika Konga utworzyła uraz z Czaadem i Republiką Środkowo-Afrykańską państwo federacyjne pod nazwą Związek Republik Afryki Środkowej. Unia ta trwała krótko, bowiem 15 sierpnia 1960 r. Konga uzyskało niepodległość i ogłoszone zostało suwerenne państwo, której prezydentem został ksiądz Fulbert Youlou. Wpływy francuskie nadal jednak były w Kongu znaczne, zaś sam prezydent — o którym mówiono, iż jest bardziej francuski niż sami Francuzi — obrał politykę wyprzedzającą naturalnych bogactw kraju z korzyścią dla obcych monopolów. Data 15 sierpnia 1963 przyniosła kres tej polityki, bowiem wojskowy przewrót obalił tego dnia prezydenta Youlou.

Pod przywództwem Narodowego Ruchu Rewolucyjnego, który po przewrocie przejął władzę, rozpoczął się w Kongu proces nacjonalizacji gospodarki; państwo nawiązało gospodarcze i dyplomatyczne kontakty z krajami socjalistycznymi. Polityka nowego prezydenta Massemby-Débatu nie była jednak wolna od niekonsekwencji. W efekcie doszło w kraju do ostrych sporów międzyplemiennych, zwłaszcza między plemionami Bekongo (którego reprezentantem był prezydent) i Bakete. Zamieszki nasiliły się, a ich następstwem było obalenie Massemby Débatu przez wojsko. Na czele państwa stanął wówczas dowódca armii major Marien Ngouabi, który na miejsce rozwiązanej Narodowej Ruchu Rewolucyjnego złożył Kongijską Partię Pracy. Pod jej przywództwem, kraj ukończył na niekapitałistyczną drogę rozwoju, realizowaną w oparciu o naukowy socjalizm. Pozwoliło to przeobrazić zaniedbaną dotąd gospodarkę, w wyniku czego przemysł dostarcza dziś 55 proc. dochodu narodowego kraju. Powstała zmiana dokonała się również w innych dziedzinach życia. Kongijska Partia Pracy podjęła energiczną walkę z analfabetyzmem i zacięciem, (p)

25 tysięcy młodych w akcji

„Każdy kłos na wagę złota”

(Inf. wt.) Na terenach północnych naszego województwa żniwa witać się już zakończyły, rolnicy przystąpili do omiotów. Dotyczy to w szczególności powiatów: Dąbrowa Tarnowska, Tarnów, Brzesko i Bochnia.

Jak wynika z meldunków, młodzież ZSMW-owska bardzo aktywnie włącza się w zbior pól rolnych, dając tym dowód, że młodzieżowa obecność i zyciowa, ofiarna pomoc przy żniwach tym, którzy jej najbardziej potrzebują jest świadectwem zaangażowania w sprawę ważną dla całego kraju.

Przypominamy, iż dla przyspieszenia żniw i omiotów Zarząd Wojewódzki ZSMW wspólnie z naszą redakcją ogłosił konkurs na najlepsze kolo ZSMW w tegorocznej akcji „Każdy kłos na wagę złota”. Najlepsze kolo, które wykaże najwięcej inicjatyw — zostana nagrodzone proporcjami ZW ZSMW i dyplomami „Gazety Krakowskiej”. Przewiduje się również nagrody rzeczowe dla najlepszych kół.

Ogólnie w regionie krakowskim zaangażowało się w akcję ok. 25 tys. młodych. Większość kół pracuje przy zbiorach zbóż. A oto przykłady:

POWIAT BOCHNIA. Do chwili obecnej w akcji wzięło udział 30 kół ZSMW. Na wyróżnienie zasługują kolo ZSMW z Lipnicy Górnej, które skosiło 2 ha zbóż u Marii Tworad i Anny Chmury. W Uściu Solnym 15 członków kolo pracowało u Teresy Dreszyk — działaczki ZSMW i Karoliny Zych — samotnej kobiety. Skosili oni owies i jęczmień kosiarką konną, która jest własnością przedmłodzieżącego kolo. W Starym Winiu młodzież pracowała przy omiotach.

Po zmianie przepisów celnych

Sprawniejsze odprawy • Mniej zażaleń odrożnych • Większa wykrywalność przestępstw celnych

WARSZAWA (PAP)

Mineło ponad 2 miesiące od zastosowania nowych taryf celnych. Skutki znacznego obniżenia stawek celnych na wiele towarów, a równocześnie odstępnie od stosowanej dawniej powszechnej kontroli podrożnych przekraczających granicę, na rzecz kontroli selektywnej, przyniosły pożyteczne rezultaty. Np. możliwość uproszczonego, ustnego deklarowania przewożonych przedmiotów spowodowała, że formalności celne, zwłaszcza dla turystów sprowadzone zostały do minimum. Nowa taryfa celna nie budzi już, tak jak poprzednia, tytu krytycznych komentarzy, przepis są bardziej jasne i zrozumiałe, a tym samym prawidłowo rozumiane. Potwierdza to wyraźny spadek liczby skarg kierowanych pod adresem administracji celnej.

Przykładem trafności przyjętych nowych postanowień jest

Posiedzenie Rady Bezpieczeństwa

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

Delegat Izraela, J. Tokoh, w istocie nie udzielił żadnej odpowiedzi na wysunięte oskarżenia. Starał się odwrócić uwagę Rady Bezpieczeństwa od omawianego zagadnienia, rzucając oszczerstwa na kraje arabskie.

Wczoraj po południu Rada Bezpieczeństwa zwołała obradę. Jako pierwszy wystąpił przedstawiciel Wielkiej Brytanii, który w imieniu swego rządu potępił akcję lotniczą izraelskiego jako „nieodpowiedzialną” i nie „do usprawiedliwienia akt gwałtu”.

Drugim mówcą był przedstawiciel Francji. Oświadczył on, że Rada Bezpieczeństwa powinna potępić niezwłocznie i jednoznacznie akcję izraelską.

Przedstawiciel Jugosławii i Kenii zażądali, aby Rada podjęła kroki, które „odwzajemniłyby” powszechną dezaprobatę światowej opinii publicznej wobec akcji izraelskiej”. Podobne stanowisko zajął przedstawiciel CHRL.

Katastrofy

kłęski żywiołowe...

(p) I znów agencje prasowe doniosły o tragicznych w skutkach katastrofach i kłeskach żywiołowych w różnych stronach świata. Oto szczegóły:

● W okolicy Karl-Marx-Stadt w NRD doszło w poniedziałek wieczorem do poważnej katastrofy kolejowej. W wyniku wywołania się 4 wagonów pociągu osobowego, zginęło 6 osób, a 8 zostało rannych.

● Jak wynika ze statystyki francuskiego MSW — w lipcu w wypadkach drogowych we Francji zginęło 1.385 osób a 32.480 zostało rannych.

● Trzy potężne eksplozje wstrząsnęły 17-piętrowym wieżowcem zbrojowym w porcie w Genewie. Elevator stanął w płomieniach. 11 robotników zostało rannych. Przyczyną się, że przyczyną eksplozji było samozapalenie się ziarna.

przepracowało 156 roboczogodzin. Młodzież z kolo ZSMW w Olsku pracowała przy koszeniu i zwożeniu zbóż u Wiktorii Bobyli — 18 osób przepracowało 90 roboczogodzin. Młodzież ZSMW w Rodakach wspólnie z uczestnikami obozu harcerskiego Komendy Hufca Chorzów pracowała przy koszeniu i zwożeniu zbóż u Antoniego Zielińskiego, Bogumiła Karcz i Antoniny Tkacz. Młodzież z kolo ZSMW w Wieradowie pracowała u rodziców kolegów, którzy przebywają w wojsku — u Oczkowskich i Kordczyków.

W POW. OŚWIECIMSKIM kolo z Podolasa pracowało przy koszeniu żyta i pszenicy u rolnika Bronisława Zenit (28 roboczogodzin). Młodzież z Małosa kosiła zboże u Henryka Kacperka.

Młodzież z POW. TARNOWSKIEGO przepracowała przy żniwach łącznie 1280 roboczogodzin. Na szczególną uwagę zasługują kolo z Jodłowskiej Tułajewskiej, które pracowało przy zbiorze pszenicy u Adama Słowika i Ignacego Smońci. W Woli Rzędzińskiej z pomocą skorzystał Marcin Majcher, Maria Nosal, Stanisław Górecki i Bronisława Świętek. W Karłowicach z pomocą skorzystał Jan Pryda. W Siemieniowach młodzież kolo ZSMW pracowała u Tadeusza Korzeniowskiego i Franciszki Karcowej, zaś młodzież z Jodłowskiej-Wałek pracowała przy żniwach u członków ZSMW — młodych rolników prowadzących samodzielnie gospodarstwa.

W POW. NOWOSĄDECKIM zaangażowane są w akcję kolo z Biegonie, Marcinów, Siedlec, Janowa, Moszczanicy, Gaj, Jasienicy, Jazowska i Myskowa.

To tylko niektóre przykłady pracy kół ZSMW w tegorocznej akcji „Każdy kłos na wagę złota”. Będzie okazała się być — powiaty podgórskie przegłosowały się bowiem do udziału w akcji. (pw)

zabytkową biżuterię o wartości 278 tys. zł, inny — historyczne numizmaty o wartości 30 tys. zł. Częściej wykrywaną tego rodzaju występów związanych zwłaszcza z nielegalnym wywozem dóbr kultury narodowej, to dowód, że służba celna rzeczywiście koncentruje się na zwalczaniu przestępstw poważnych i przemysłowych w pełnym tego słowa znaczeniu. Równocześnie nadal występuje dość powszechne zjawisko dążenia do zwrotu kosztów podróży i pobytu za granicą drogą zyskownej odsprzedaży przewożonych przedmiotów upominkowych, a nawet rzeczy osobistego użytku. Tego rodzaju handel uprawiany jest za granicą przez niektórych naszych obywateli nawet na barach. O takich przypadkach, a także o ujawnianiu przemytników, o karach i konfiskatach jak dotychczas za granicą nie było wiadomo. Równocześnie uwagi przed wszystkim na tych osobach, które tylko z nazwy są turystami, a w gruncie rzeczy zajmują się handlem. Ta większa skuteczność w ujawnianiu i zwalczaniu przestępstw celnych, wyraża się wzrostem liczby wszczętych spraw karno-skarbowych, jak i wartości zajętych przedmiotów przestępstwa. Oto np. na lotnisku Okęcie ujawniono niedawno, że jeden z cudzoziemców usiłował wywieźć zlo-

Wizyta P. Jaroszewicza w Moskwie

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

Podczas spotkania szczegółowo omówiono podstawowe kierunki wspólnych prac nad kordynacją planów rozwoju gospodarki narodowej PRL i ZSRR na lata 1976-1980. Udziałono, że rządy PRL i ZSRR zalecają organom planowania oraz ministerstwu przygotowanie nowych konkretnych propozycji i dalsze prowadzenie prac związanych z kordynacją narodowych planów gospodarczych. Prace te będą prowadzone zgodnie z decyzjami poczynionymi przez KC PZPR i KC KPZR oraz rządy obydwu krajów, a także podczas spotkania na Krymie przywódców partii komunistycznych i robotniczych krajów socjalistycznych, dotyczącymi dalszego pogłębiania socjalistycznej integracji gospodarczej krajów członkowskich RWPG i wszechstron-

nego rozwoju współpracy ekonomicznej między nimi.

Spotkanie i rozmowy upłynęły w serdecznej, partyjnej atmosferze. Ze strony polskiej uczestniczyli w nim M. Jagielski i J. Chyliński, ze strony radzieckiej: wicepremier, przewodniczący Państwowej Komisji Planowania — Nikołaj Bajbakow oraz zastępca przewodniczącego Państwowej Komisji Planowania — Nikołaj Inozemcew.

A. Kosygin podejmował P. Jaroszewicza śniadaniem.

Opuszczającego Moskwę premiera P. Jaroszewicza żegnał na lotnisku premier A. Kosygin.

14 bm., w godzinach wieczornych, premier Piotr Jaroszewicz i wicepremier Mieczysław Jagielski powrócili do Warszawy.

Miliardowy program inwestycji szkół wyższych

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1) wniosków nauki, przygotowuje się wysokiej złożoności program techniczny i technologiczny centrów badawczych. Krakowskie inwestycje szkół wyższych, które bywały dotąd zwykłe przyzwyczajone słabo i realizowane niepełnie, obecnie uzyskały rangę i rozmiar równy ogromnym przedsięwzięciom w zakresie rozbudowy przemysłu.

Pociąga to za sobą konieczność daleko idących zmian w organizacji prac inwestycyjnych i w zabezpieczeniu realizacji tego — złożonego, powtórzmy — programu przy krakowskim przemysle budowlany. Po zmianach kadrowych i organizacyjnych rozmawiamy o tym z dyrektorem krakowskiego Zarządu Inwestycji Szkół Wyższych inż. Waldemarem Domańskim oraz dyr. administracyjnym największej uczelni, uczestniczącą w owym miliardowym programie do wysokości niemal 50 proc., Tytussem Mrozem z AGH.

W r. 1973 realizacja inwestycji stała się centralnym tematem Kolegium Rektorów, któremu przewodniczył rektor UJ, prof. dr Mieczysław Karas. Okazuje się bowiem, iż wiele opinii i „pośliszów” realizacyjnych, jakie w tej chwili występują, spowodowane jest słabym przygotowaniem dokumentacji technicznej i służb inwestycyjnych. Opracowanie skróconego programu inwestycyjnego i finansowego, przedsięwzięcie inwestycyjnych (z wyjątkiem AGH, która się z tym już uporała) postępuje z trudem, zwłaszcza w Akademii Medycznej, UJ i uczelniach artystycznych. Do przyczyn tego stanu rzeczy należy rozproszenie organizacyjne służb inwestycyjnych. Tylko 6 spośród krakowskich uczelni jest objętych działalnością zreorganizowanego Zarządu Inwestycji Szkół Wyższych. Pozostałe ogniska krakowskich oświaty nauki działają w ramach swych resortów, co powoduje różnice metod, słabość rozważań i potrzebę i niejednokrotne dublowanie się programów oraz rozproszenie sił.

Ma to swoje bezpośrednie skutki realizacyjne. Przemysł budowlany przygotowany jest i nawiąki do współdziałania przy miliardowych inwestycjach z silnymi i wyspecjalizowanymi służbami inwestycyjnymi. Jak dotąd, mimo bezpośredniego uczestnictwa koordynacyjnego ze strony Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, nie osiągnięto dla całego programu krakowskich szkół wyższych takiego poziomu scalonych służb inwestycyjnych. W istniejącej sytuacji wykonawcy budowlani nabyli często korzystając z formalnych uprawnień do przesuwania realizacji posz-

czególnych obiektów z powodu uchybień w przygotowaniu inwestorskim. Otwarta więc i paląca jest sprawa scalenia (nazwy się to integrowaniem) służb inwestycyjnych szkół wyższych w skali regionu i środowiska, które by pozwoliło działać bez podziałów resortowych, w jednolitym interesie krakowskiego świata nauki.

Druga z kolei sprawa jest konieczność wzmożenia sił, dysponowanych na rzecz obiektów szkolnictwa wyższego przez przemysł budowlany. Jak dotąd, wypróbowani partnerami są w tej dziedzinie w pierwszym rzędzie „Zjednoczenie „Budostal”, które w br. z sukcesem oddało do użytku I etap budowy Wydziału Ogrodnictwa Akademii Rolniczej przy ul. 29 listopada, „Chemobudowa”, realizująca II etap tego zespołu obiektów oraz „ZBM”, czynny przy szeregu dalszych obiektów uczelni krakowskich. Aktywnie uczestniczy również w realizacji inwestycji AGH Hufnische Przedsiębiorstwo Remontowe. Gorzej natomiast przedstawia się sprawa własna w wykonawstwo obiektów szkół wyższych Zjednoczenia Budownictwa Przemysłowego „Południe”, którego udział jest nieodwrotny, podobnie jak szeregu innych, specjalistycznych przedsiębiorstw, zajmujących się montażami i wyposażeniem obiektów przemysłowych.

„Aby uzmniejszyć sobie złożoność zadań, jakie składają się na obecną rozbudowę krakowskich uczelni, wystarczy wymienić tylko niektóre, ważniejsze obiekty, przykładowo zaczerpnięte z listy zadań AGH. Oto na czele tych zadań znajduje się rozbudowa bazy badawczej dla krakowskiej fizyki i techniki jądrowej (w tym niezmienne ważne ognia energetyki jądrowej). W dalszej kolejności wymienić trzeba bazę badawczą dla inżynierii materiałów budowlanych i inżynierii materiałowej, bazę metalurgii, elektroniki i elektrotechniki z automatyką, geofizyki stosowanej. W kompleksie tych zadań znajduje się szybka realizacja obiektu „CYPRONET”, pod którą to nazwą kryje się drugie w kraju, po czynnym już w Świerku pod Warszawą, centrum obliczeniowe o systemie abonenckim, oparte o najnowszy sprzęt ze sprzętu komputerowy 4-tej generacji. „Cyfronet” przeznaczony jest do obliczeniowej obsługi badań naukowych całego krakowskiego „zgałębia nauki”.

Jak widać wyrasta ono — ogromny, złożony problem organizatorski, któremu w nadchodzących miesiącach krakowski przemysł budowlany będzie musiał sprostać.

JANUSZ RATAJCZAK

Powrót wystawy pamiątek kopernikowskich UJ

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

Przy okazji pobytu wystawy w Paryżu dokonano ciekawego odkrycia. W Obserwatorium Paryskim znajduje się portret młodego Mikolajaka Kopernika, styl w jakim został wykonany wskazuje, że pochodzi on prawdopodobnie ze szkoły duńskiej, której twórcą może być Hans Duerer, brat słynnego malarza, który przebywał w

Gdzie wypoczywać?

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1) wycieczkowy i kwatery prywatne Nowego Targu, Szczawnicy, Białego Dunajca, Poronina, Limanowej i Pienicznej-Zdroju. Rezerwy pobyty na wzniesieniu przyjmują POSTW „Sola” w Zywcu, „Kornuty” w Gorlicach i „San” w Premyslu.

W Szklarskiej Porębie na ok. 150 miejsc zgłoszenia przyjmują biuro zakwaterowań „Turystyka”, a ok. 300 miejsc w kwaterek prywatnych propozuje POSTW w Bystrzycy Kłodzkiej,

Krakowie w czasach gdy Kopernik był słuchaczem Wszechnicy Jagiellońskiej. Najciekawszym szczegółem obrazu jest niewielki pierścień na palcu astronoma, pierścień ze skrzyżowanymi dwoma berliami UJ. Wskazywało by to na fakt posiadania przez Kopernika tytułu doktora UJ. Sprawa ta wymaga jednak dalszych, wnikliwych badań.

Zarówno na kontynencie amerykańskim jak i w Wielkiej Brytanii odwiedził wystawę wielu reprezentantów Polonii. „Byli dumni, że są Polakami, że ich stary, rodzinny kraj dysponuje zbiorami godnymi najspanialszych muzeów świata” — powiedział prof. Estreicher.

SPORT • SPORT • SPORT • SPORT

Dziś na stadionie im. Lenina w Moskwie — otwarcie VII Uniwersjady

Dziś na stadionie im. Lenina w Moskwie nastąpi uroczyste otwarcie Uniwersjady — 73. Odbędzie się defilada uczestników światowych igrzysk studenckich oraz masowe pokazy gimnastyczne w wykonaniu uczniów szkół i studentów. Wystartują również jako pierwsi do walki o miejsca w półfinale turnieju szermierczego szpadziści.

Około 4.300 zawodników i zawodniczek z 70 krajów stanie na starcie letniej Uniwersjady. Organizatorzy postanowili tym razem przyznać medale złote, srebrne i brązowe za 3 pierwsze miejsca oraz dodatkowo po 3 małe medale w poszczególnych konkurencjach za miejsca 4-6.

Pierwszy rekord Uniwersjady już został zanotowany. Nigdy dotychczas ogniska studenckie nie zgromadziły tylu reprezentacji i uczestników. Przed 3 laty w Turynie występowały ekipy 62 państw, a w nich 2084 zawodników i zawodniczek.

W Paryżu komitet wykonawczy FISU postanowił, że gospo-

darzem Uniwersjady 1973 będzie Moskwa. Powierzenie Uniwersjady stolicy ZSRR wywołało zainteresowanie opinii sportowej na świecie. I oto mamy igrzyska najliczniej i najświeżej obsadzone w porównaniu z 6 poprzednimi Uniwersjadami. Tradycyjna dewiza Uniwersjady to: „Sport Pokoju, Przyjaźni”.

O tym, jaką wagę przywiązuje sportowy świat do moskiewskich igrzysk świadczy przybycie na Uniwersjadę przewodniczącego MKOI Lorda Killana, przesów wielu międzynarodowych federacji sportowych, członków komitetu wykonawczego MKOI.

Drogą lotniczą udała się do Moskwy główna część polskiej ekipy uniwersjadowej. Obok ponad 100 zawodników i zawodniczek do stolicy ZSRR przybyli przedstawiciele kierownictwa ekipy, trenerzy i sędziowie. Na lotnisku Szermietiewo zgłoszono naszym akademikom niezwykle serdeczne powitanie. Ekipę witał przewodniczący komitetu organizacyjnego G. Jelisiejew.

K. Górski ściga do Sofii posilki

Nasza piłkarska reprezentacja już w najbliższą niedzielę rozegra towarzyskie spotkanie z narodową jednostką Bułgarii. Trener Górski traktujący mecz z Bułgariami jako kolejny sprawdzian przed jesieniami meczami eliminacyjnymi z Walią i Anglią poprosił aby do Bułgarii przyjechał trzech piłkarzy: Maszaler (Gwardia Warszawy), Wleczorek (ROW) i Lato

(Stal Mielec). Z piłkarzami uda się lekarz dr Garlicki. Dotychczas trener Górski dysponuje 18 piłkarzami.

Trener Kontha opuszcza Mielec

Węgierski trener piłkarzy mieleckiej Stali — Karoly Kontha złożył prośbę o zwolnienie z pełnionej funkcji i wcześniejjsze rozwiązanie 2-letniego kontraktu. Rezygnację uzasadnił złym stanem zdrowia, uniemożliwiającym mu wykonywanie odpowiedzialnych obowiązków. Kontha, na skutek nagłej niedyspozycji serca zmu-

szony był przerwać o dzień wcześniej swoje zajęcia z piłkarzami na zakupiańskim zgrupowaniu, a po powrocie do Mielecia, nadal czuł się nie najlepiej. Zarząd klubu Stali Mielec przyjął rezygnację i powierzył obowiązki trenerskie zespołu mistrza Polski dotychczasowemu asystentowi trenera — Aleksandrowi Brożniakowi.

Zwycięstwo hokeistów na trawie nad reprezentacją Indii

Duży sukces w hokeju na trawie odniósł reprezentacja Polski, która po raz pierwszy w historii polskiego hokeja wygrała z wielokrotnymi mistrzami świata — Indiami 4:3 (3:0). Wszystkie bramki dla Polski zdobył Oulakowski.

Mecz stał na dobrym poziomie, był bardzo emocjonujący. Polacy nadrabiali braki techniczne ambicją i ofiarnością.

W dotychczasowej historii spotkań hokeistów Polski i Indii Hindusi wygrali 7 meczów i dwukrotnie remisowali. Dzieńskie spotkanie przyniosło Polakom zwycięstwo.

W kilku wierszach

◆ Na tegorocznej liście najlepszych tenisistów świata (Grand Prix) pierwsze miejsce zajął reprezentant Rumunii Nastase, który zgromadził 342 pkt. Wyparł on z Ordesy (Hiszpania) — 193 pkt., Kodessa (CSRS) — 175 pkt., Commora (USA) — 143 pkt. i Metrevelo (ZSRR) — 141 pkt.

◆ 50-osobową reprezentację wysłała Francja na tegoroczne mistrzostwa juniorów w lekkiej atletyce. Odbędzie się one w Duisburgu w dniach 24-26 bm. W skład ekipy wchodzi 15 zawodniczek i 35 zawodników.

◆ Po ósmej rundzie rozgrywanego w Polanicy Zdroju Międzynarodowego Turnieju Szachowego o memoriał A. Rubinstewa nadal prowadzi polski szachista Włodzimierz Szmidt — 5,5 pkt. przed Dworemkim (ZSRR) — 5 pkt.

◆ W Augustowie zakończył się XII Międzynarodowy Festiwal „Białostocznica 73”. Główną nagrodą „Puchar Podlasia” zdobył zespół Startu Łódź. Zawodnicy krakowskiego Hufnika uplasowali się na 5-tym miejscu. W turnieju indywidualnym zdobywcą pucharu został Govederica (Jugosławia) — 8 pkt., drugie miejsce zajął Modr (URS) — 7,5 pkt.

◆ Piłkarze Lecha rozegrali w Gdyni towarzyskie spotkanie z II-ligową Arką. Mecz zakończył się remisem 1:1 (0:1).

◆ We wtorek w warszawskiej AWF odbyła się ostatnia konkurencja mistrzostw Polski w pięcioboju nowoczesnym. Mistrzostw Polski na rok 1973 został R. Konwiński — 5120 pkt.

zestawiali gospodarze w meczu z pierwszoligowym ŁKS-em, także i w dniu dzisiejszym potwierdzą będą chcieli, dobrą formę.

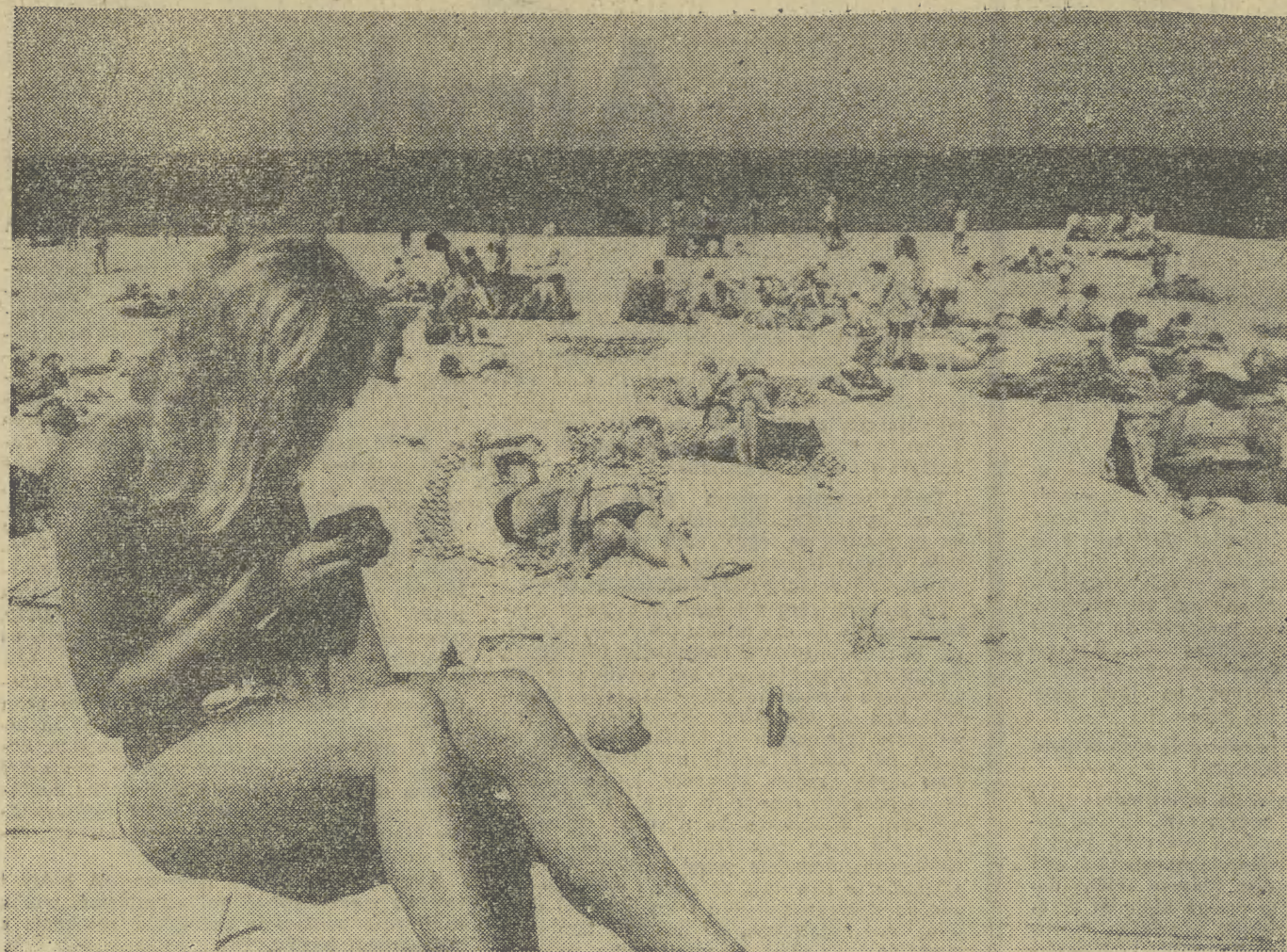
Obie drużyny wystąpią w najbliższych składach.

Red. JACKOWI ZIĘBIE

wyraża głębokiego współczucia z powodu śmierci Matki składają koleżanki i koledzy

z REDAKCJI „GAZETY KRAKOWSKIEJ”

W dniu 13 sierpnia 1973 r. zmarł



m

OD ŚRODY DO ŚRODY

Większą szkodę zrobimy absolwentowi wyższej uczelni nie zapewniając mu odpowiedniego warsztatu pracy, niż nie przyjmując go wcześniej na studia jako aktualnie słabszego. Równość społeczną osiągnąć można jedynie przez uzyskanie psychicznej zgody każdego członka społeczeństwa na pozycję, którą w tym społeczeństwie zajmuje, a nie przez zapewnienie tej samej pozycji wszystkim. (z listów do Polityki w sprawie przyjmowania bez egzaminu wszystkich chętnych na studia).

Dlaczego o wódkę na czasach tak łatwo, a o książkę tak trudno? (z listu do Polityki)

Dziś każdy, nawet taki, który w rzeczywistości boi się wszelkich zmian, myśli sobie, że jest postępowcem lub rewolucjonistą. My, Polacy, szczególnie inteligenci, uważamy, że od każdej trudności i od każdego dylematu najlepiej się wywiązać ironicznym dowcipem. Byłoby może największym złem, jakie Hitler mógł nam wyrządzić, byłoby niejako jego zwycięstwem z za grobu, gdyby odebrał nam zdolność obiektywnego myślenia o Niemcach i w konsekwencji o naszej i europejskiej rzeczywistości politycznej. (J. Bocheński — Polityka)

NR
MYŚLI TYGODNIA (8-14 VIII)
23

Przed kilku miesiącami poruszyliśmy na naszych łamach sprawę budowy autostrady Kraków — Wrocław — NRD. W obronie Garbu Tenczyńskiego otrzymaliśmy wiele listów. Z nadesłanego przez Ministerstwo Komunikacji pisma wynika, że resort ostatecznie zaakceptował trasę przewidującą całkowite objęcie Puszczy Dułowskiej oraz zlecił korekturę trasy w okolicach Jaworzna. Zaś w sprawie szczególnej żywo obchodzącej krakowian, tj. wprowadzenia autostrady ulicą Czarnowiejską w Aleję Trzech Wieszczów, ministerstwo za komunikowało, że wariant taki w żadnym z rozwiązań nie jest brany pod uwagę.

Ustanowiono Kraków w stolicy, wydawano się więc, że możemy spać spokojnie.

Reporter badający tę sprawę stykał się z argumentami wręcz kuriozalnymi. Np., że do drażenia tunelu należy wykorzystywać istniejące moce przedsiębiorstwa budującego sztolnie dla elektrowni w górze Żar, gdyż inaczej przedsiębiorstwo to rozpadnie się z braku frontu robót. Ktoś inny dowodził, że przy okazji budowy autostrady rozwiązane wreszcie zostaną nabrażenie trudności komunikacyjne miasta, powstaną bowiem nowe arterie i niezbędne mosty. Usłyszeliśmy też, że po nieważ 15-kilometrowy odcinek od węzła w Mydlnikach do miejscowości Kopce posiada już zatwierdzony projekt techniczny, pozwalający na natychmiastowe rozpoczęcie prac — to w tej sytuacji jakkolwiek korekta przebiegu.

Nak zdanem najbardziej oczywiste, choćby względy techniczne czy rachunkowo — i nie po raz pierwszy — przypominać los murekujących zabytków, odpadających tynków, czerniejących obróbów? Wydaje się czasami, jakbyśmy nie nie rozumieli, byli ślepi i głusi, niekompetentni, jakbyśmy nie pamiętali o radości i smaku życia, jakbyśmy bagatelizowali ogromną wagę tego, co nam przekazywał depozyt wieki przeszłości.

I w ten sposób najczystsze potąd tereny miasta, skąd obecnie docierają ożywczynie wiatry zachodnie, za kilka lat zostaną nie tylko zanieczyszczone, ale



K. STRZELEWICZ

koinie. Tymczasem Prezydium RN m. Krakowa, któremu ministerstwo pozostawiło w rękach decyzję w sprawie wyznaczenia przebiegu osi autostrady przez zespół miejski zdecydowało, że autostrada od węzła mydlnickiego po biegnie w stronę Wzgórza św. Bronisławy, przejdzie pod wzgórzem 300-metrowym tunelem (pomiedzy cementarnią salwatorskim a Kopcem Kościuszką), mostami przez Wisłę i Wilgę, estakadami nad „zakopianką”.

Dlażąc zięjącą spalinalną międzynarodową autostradę NRD — PRL — ZSRR ma przebiegać przez najpiękniejszy rejon najszlachetniejszego spośród polskich miast, 2,5 km od Rynku Głównego, tego nie możemy ani my, ani dziesiątki indagowanych przez nas osób zrozumieć. Po co ludziom i zabytkom dodatkowe spaliny, wibracje i hałasy, po co miastu kosztowne estakady, tunele i mosty?

trasy autostrady nie może być b... pod rozważę.

Jedyny argument, który wydaje nam się godny rozpatrzenia, padł z ust W. Miszkina, zastępcy dyrektora Zarządu Autostrad, odpowiedzialnego za budowę odcinka Kraków — Wrocław. Dyrektor Miszkin, doświadczony drogowiec, wykładawca Politechniki Krakowskiej, w celu zapoznania się z problemami budowy autostrad był pięciokrotnie na autostradach zachodnich i twierdzi, że tylko 40 lat temu budowano autostrady z dala od miast, natomiast obecnie wchodzi się z nimi do środka. Dlatego budując autostradę przez zespół miejski Krakowa — twierdzi dyr. Miszkin — szczęśliwie przekakujemy pionierski okres kosztownych prób i błędów projektantów zachodnich i sięgamy od razu po rozwiązania najnowocześniejsze.

W tej fachowej kwestii niech wypowiedzą się specjaliści, dla których łamy „Gazety” stoją otworem. Naszym jed-

i dostarczać poezną naszym udręczonym płucom wzmocnione porcje pięciolitrowego ołowiu. Czy trzeba tu dodatkowo — i nie po raz pierwszy — przypominać los murekujących zabytków, odpadających tynków, czerniejących obróbów? Wydaje się czasami, jakbyśmy nie nie rozumieli, byli ślepi i głusi, niekompetentni, jakbyśmy nie pamiętali o radości i smaku życia, jakbyśmy bagatelizowali ogromną wagę tego, co nam przekazywał depozyt wieki przeszłości.

Oczywistym i prostym wyjściem z autostradowego impasu byłoby ominięcie Krakowa i wcześniejsze przekroczenie Wisły. Dlaczego jednak tego się nie czyni, dlaczego wybiera się niepopularną oś autostrady przez miasto i dlaczego unika się przed podjęciem tak ważnej decyzji publicznej dyskusji — może nam w końcu, pomimo dąsów na prasę, Prezydium Rady Narodowej m. Krakowa wyjaśni, o co uprzejmie prosimy w imieniu kilkuset tysięcy naszych Czytelników.

Sądze, że kiedy z Nim rozmawiałem, udzielał ostatniego w życiu prasowego wywiadu. Parę miesięcy później z głębokim smutkiem przeczytałem Jego nekrolog. Mistrz JAN ŁAZARSKI, olimpijczyk, zdobywca pierwszego polskiego srebrnego medalu w r. 1924 na Olimpiadzie w Paryżu, zmarł 11 sierpnia 1968 r. A przecież nie właściwie nie wskazywało, że tragedia zbliża się tak szybko. Owszem, 75 lat na karku i grubo ponad stukilowa waga dawały się mocno we znaki. Mistrz poruszał się z trudem na mocno opuchniętych nogach, ale był dobrej myśli, a łagodny uśmiech gościł stale na niemal młodzieńczej twarzy. Był do wiosny — powiedział. Zamierzał znów otworzyć podwoje swego warsztatu dla klientów, którzy od lat wie- dzieli, że nikt nie potrafi tak jak on fachowo, szybko i solidnie zespawać uszkodzonego bloku, karteru czy samochodowej głowicy. W ciągu lat powojennych „złote ręce” Mistrza uleczyły setki wysłużonych, nietypowych często aut z demobilu, skazanych — z braku części — na nieuchronną zdawałoby się śmierć techniczną. Jego samego owego lata 1968 r. uleczył się już nie da- ło.

*

Nie, nie jeździł wcale Łazar- ski na rowerze od dziecka. Urodzony w 1892 r. na krakowskim Zwierzyńcu, po ukończeniu wstępnej edukacji zapisał się do gminazjum św. Jacka i dopiero wtedy, w trzeciej gimnazjalnej, nawiązał bliższy kontakt ze „stalowym rumakiem”. Ten moment na zawsze utkwił Łazarowskiemu w pamięci: kolega Guzikowski przyjechał do mnie na rowerze — wspominał. Zwierzyńiec leżał wtedy na peryferiach miasta i rodzice prowadzili tam własne gospodarstwo. Tak jak stałem, bosy, poprosiłem żeby się dał przejechać. Kawaleczek. Zgodził się, choć twierdził, że nie dam rady. Umówiliśmy się, że będzie mnie trzymał za siodło. Po jakimś stu metrach obejrzałem się i zobaczyłem Guzikowskiego daleko za sobą. Dopiero wtedy upadłem. Ale druga próba u- dała się już lepiej. Kolega za- checał — „Jeźdź sam i nie oglą- daj się. Teraz już pojedziesz”.

Najwidoczniej uwierzył wtedy kolega Guzikowski w cyklistyczne talenty szkolnego kompana — ale i on nie mógł się chyba spodziewać, że u- dzieła oto pierwszej lekcji przyszłemu mistrzowi kolar- skich torów. I że uczeń, uty- lany w zwierzyńskim kurzu, sięgnie kiedyś po olimpijskie laury.

Zresztą i samemu Łazar- skiemu kolarskie wyczyny nie były wtedy w głowie. Po trzech klasach rozstał się ze św. Jackiem, odbył praktykę w fabryce ślusarskiej Góreckich przy ul. Wawrzyńca — i w 1912 r. wyjechał na studia elektro- techniczne do Thüringen Ilmenau w Niemczech. Już wtedy musiał być na dobre zafascy- nowany techniką i samocho- dami, którym praktycznie poświęcił całe życie, skoro spe- rając z gospodarstwa w domo- wym archiwum znalazłszy w czasie mej wizyty i taki, opar- tony zdjęciem, dokument z owego czasu: CERTYFIKAT NA KIEROWNIKI DLA P. JANA ŁAZARSKIEGO, URO- DZONEGO D. 20/11/1892 W KRAKOWIE, ZAMIESZKA- JĄCEGO W KRAKOWIE (DEB- NIKI), KTÓREMU WYDAJE SIĘ NINIEJSZE POZWOLE- NIE NA SAMOISTNE PRO- WADZENIE SAMOCHODU GATUNKU — Z MOTOREM BENZYNOWYM. KRAKÓW 10/IV 1912 — C. K. STARO- STWO; C. K. DYREKCJA PO- LICJI. Ale stary to nie so- fer, co? — pomrukiwał wtedy Mistrz Jan, sam zadziwiony odnalezieniem pierwszego pra- wa jazdy.

Nie dane jednak było Łazar- skiemu zakończenie studiów w Niemczech. Po trzech seme- strach wyjechał na wakacje do brata, do Paryża. Brat Ta- deusz, doktor chemii, pracował tam z profesorem — Janem Danysem w Instytucie Pasteura. I wtedy wybuchła woj- na. Jako poddani austriacy, zostaliśmy wraz z bratem i bratową internowani w północnej Bretanii. Tam, w Peros Girec Lagnon, Francuzi nie umiesci- li nas w obozie a zezwolił mieszkać w rybaków. Dzięki in- terwencji Władysława Mickie- wicza brat uciekł powrócić do Instytutu, a ja zacząłem pra- cować w firmie samochodowej. Po wyremontowaniu domu urodziłem obywateli amerykań- skich zezwolono i na mój po- wrót do Paryża, a prof. Danyś wystarał się o papiery do Szwajcarii. Wysłał mnie tam do Willi Padereuskiego, z po- leceniem aby się mną zapie- kowano.

Zaopiekowano się. Łazar- ski otrzymał pracę w fabryce sa- mochodów „Martini” w Neu- schatel, później przeniósł się do innych firm w Genewie. I wtedy — uważa! — Łazar- ski po raz pierwszy regularnie tre- nuje kolarstwo. Choć raczej nieświadomie — dojeżdża do pracy na rowerze 18 km w jed- ną i drugie 18 km w powrotną stronę.

Po zakończeniu wojny Ła- zarski powrócił do rodzinnego Krakowa. Przy ul. Barykiej 2 założył rzeczniczą wysej, czyn- ną do ostatnich chwil jego ży- cia spawalnię metali koloro- wych, w której z damskiego roweru siostry i zdekompleto- wanego męskiego, należącego do szwagra, zmontował swój pierwszy rower wyczynowy. Wyczynowy, bowiem za namię-

wą znajomych stanął na tej maszynie do pierwszego w ży- ciu wyscigu.

Łazar- ski startował zresztą wtedy bez specjalnego entu- zjazmu. Nie bardzo wierzył we własne siły, a i strój — ko- stium kąpielowy założony z braku kolarskiej koszulki i spodenek — wywoływał docin- ki andrusów krakowskich: Patrzcie go, ubrał się jak do rosołu. Kiedy jednak z ogrom- ną przewagą wygrał swój bieg na 5 km, stanął w tym samym dniu do drugiego — już dla cyklistów zaawansowanych. No i figurowała do końca w „skarbach rodzinnych” piękna laska z napisem „Zwycięzcy w biegu Nowicjuszy Miasto Kraków 15.VIII.1918” oraz pa- pierośnica opatrzona grawe-

rowski wyjaśnił mi podczas specjalnie zaaranżowanej roz- mowy, że nie ma nic przeciw- ko wykorzystywaniu boiska „Cracovii, ale na sport kolar- ski i pod warunkiem, że chę- ni zorganizują się w sekcję.

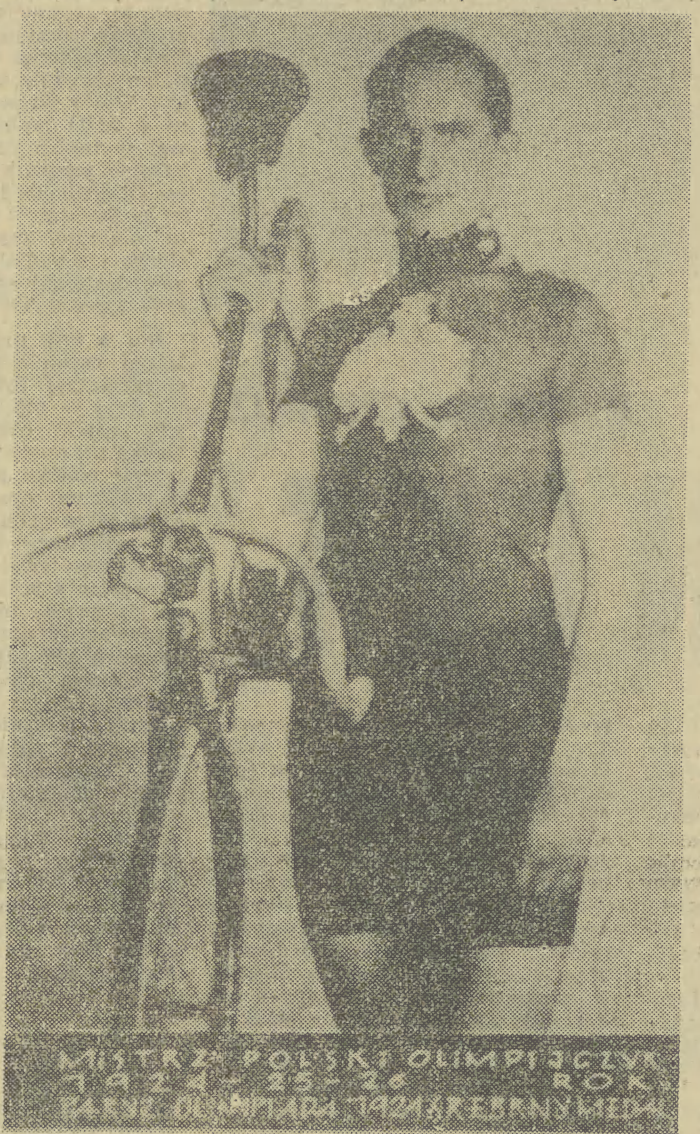
Przeniósł się więc Łazar- ski z grupą dwudziestu kilku za- paleńców do „Cracovii”, a że taka grupa młodych to siła — dzięki pomocy p. Rudawskiego, który wypożyczył ciężarówkę, taczki i łopaty — rychło wy- budowano na stadionie praw- dziwy ziemny tor kolarski. Było więc już miejsce do prawdziwego treningu, było gdzie się ścigać. Można też by-

PIERWSZE

runkiem „Zwycięzcy w biegu „Otwarcia” Wydział K.K.Ci.M. Kraków 15.VIII.1918” — za- drugi.

Starty zaczęły się mnożyć ale przypadkowy postrzał w lewe kolano zdawał się koń- czyć na zawsze dopiero co za- czętą kolarską karierę. Kula utkwiła w lewym kolanie

ło myśleć o rywalizacji z sil- nymi ośrodkami kolarskimi w Warszawie i Łodzi, dysponują- cymi betonowymi torami na sławnych Dynasach (Warszaw- skie Towarzystwo Cyklistów) i w Helenowie oraz z kolarzami Poznania, Lwowa i Częstoch-



(przebywała tam zresztą do końca życia Mistrza, powodu- jąc w podeszłym wieku przy- kre dolegliwości) i uszytywni- ła nogę. Ale kaleka Łazar- ski nie został — dzięki rowerowi... Le- karze zalecali co prawda gim- nastykę nogi w Zakładzie Zan- dera, ale przyszły olimpijczyk postanowił kurować ją „w sio- dle”. Podniesionym jedynie o 10 cm wyżej niż normalnie. Terapia się powiodła, noga znów zaczęła „funkcjonować”.

wy (posiadającej wówczas pla- ski tor ziemny). Łazar- ski dzie- lił początkowo swą wielką mi- łość do sportu między kolar- stwo szosowe i torowe, zdobył nawet szosowe wicemistrz- stwo Polski w 1921 r. na 200-kilometrowej trasie Kra- ków — Pilzno — Kraków. Ale tor pociągał młodziego już — w sportowym sensie — Łazar-

SREBRO

Wydaje się jednak, że mało kto wiedział — wśród sprawo- zdawców sportowych i widzów — że po srebrny paryski olim- pijski laur pedził Łazar- ski obciążony dodatkowo tkwiącą w kolanie potężną kulą z austria- ckiego rewolweru...

Samozaparcie i ambicja Ła- zarskiego po nieszcześliwym wypadku już same w sobie wystawiły mu świadectwo sportowca wielkiego formatu. Ale największe sukcesy miał dopiero nadejść — w barwach „Cracovii”. Prawie 30-letni już Łazar- ski startował jeszcze w KKCIM (Krakowski Klub Cy- klistów i Motozyklistów), kie- dy na motocykl (to był „tri- umph” pięćsetka, panie redak- torze) wyjechał po meczu pił- karskim na boisko „Cracovii” odbyć kilka rund na płaskim żużlowym torze. Nie był on wykorzystywany do celów ko- larskich, a jedynie za czasów austriackich organizowano tam zawody na Czerwony Krzyż. Wtedy jednak mnie z motocy- klem z toru wyrzucili a kilku piłkarzy nawet mnie poturbo- wało — wspominał z wyrozumi- ałym uśmiechem Mistrz. Dla załagodzenia sprawy — prez. „Cracovii” dr Cetna-

skiego coraz bardziej.

Szczyt kolarskiej kariery był już blisko. W 1923 r. śmiałan- kolarz warszawskich wy- jechał na mistrzostwa świata do Zurychu, a tymczasem za- kontrakowano na zawody na Dynasach czołowych kolarzy francuskich. Na gwałt ścia- gnęto więc posiłki — Langego z Poznania, krakowianina — Jana Łazar- skiego. Łazar- ski wygrał wtedy z renomowa- nymi Francuzami, którzy — widząc w nim pierwszej wody, choć nie oszlifowany jeszcze ta- lent — zaproponowali szkole- nie pod okiem fachowych tre- nerów w Paryżu. Na własny koszt wyjechał tam Łazar- ski w 1924 r., ze „Stefem” Sukienni- kiem, Romanem Garlejem i Józefem Lange. Paryski szlif dał efekty — po powrocie przyszło na warszawskich Dy- nasach pierwsze mistrzostwo Polski w sporcie. Łazar- ski stał się żelaznym kandydatem do wyjazdu na olimpiadę — i o- mał nie został w domu. Reszta reprezentacji złożona z zawo-

ników stolicy była już w Pa- ryżu, kiedy nieświadom Łazar- ski spacerował jeszcze w naj- lepsze po krakowskim Rynku. Ale w końcu pojechał, w osta- tniej chwili zdobył paszport i za własne, a częściowo poży- czone pieniądze, popędził za reprezentacją do Paryża. Ów- czesne władze sportowe o ma- nie zdołały załatwić mu na czas posporthu... Czy my tego, u licha, skądś przypadkiem nie znamy?

Ryk tysięcy gardeł towarzy- szył na olimpijskim torze Vin- cennes półfinalowemu pojedy- nkwowi Polaków z drużyną gospodarzy Polska drużyna w składzie JAN ŁAZARSKI, TO- MASZ STANKIEWICZ, JO- ZEF LANGE i FRANCISZEK SZYM CZYK, „czarny koń” Olimpiady w konkurencji 4000 m na dochodzenie zdeklasowa- ła już w eliminacjach Łotwę i choć następnie przegrała z Belgią, dzięki najlepszemu czasowi wśród pokonanych za- kwalifikowała się do półfinału. Tam postanowiła drogo sprze- dać swą skórę. I oto sensacja! Francuzi, typowani powszechnie na mistrzów olimpijskich, przegrywają z polską ekipą! Walny udział w tym zwycię- stwie miał doskonale dyspono- wany Łazar- ski. Cóż, skoro w finale zawiodły nerwy Lange- go (nie dał zmiany przy jeździe z wiatrem najsłabszemu z czwórki, poturbowanemu przed olimpijskim startem Stankiewiczowi) — i Polacy minimalnie z Włochami prze- grali. Ale mimo to stali się autorami kolosalnej sensacji sportowej — przywieźli do kraju pierwsze w historii pol- skiego sportu srebrne medale olimpijskie. Po raz pierwszy w historii zabrzmieli na Igrzys- kach w Paryżu Mazurek Dąb- rowskiego, grany wówczas je- szcze i na cześć wicemistrzów. A przecież nie po sukcesy je- chałszy wtedy nad Sekwanę. Tygodnik sportowy „Stadion” tak pisał 20 lutego 1924 roku: „Nie oczekujemy powodzenia w Paryżu. Musimy tam być, gdyż musimy udowodnić, że Polska bierze udział w pracy nad fizycznym odrodzeniem społeczeństwa. Musimy stwier- dzić, że oto po raz pierwszy jako państwo stajemy na star- cie w szeregu innych państw. Jesteśmy dziś juniorem, a cze- go dokonać możemy, to oce- niać będą nasi przeciwnicy za kilka lat dopiero...”

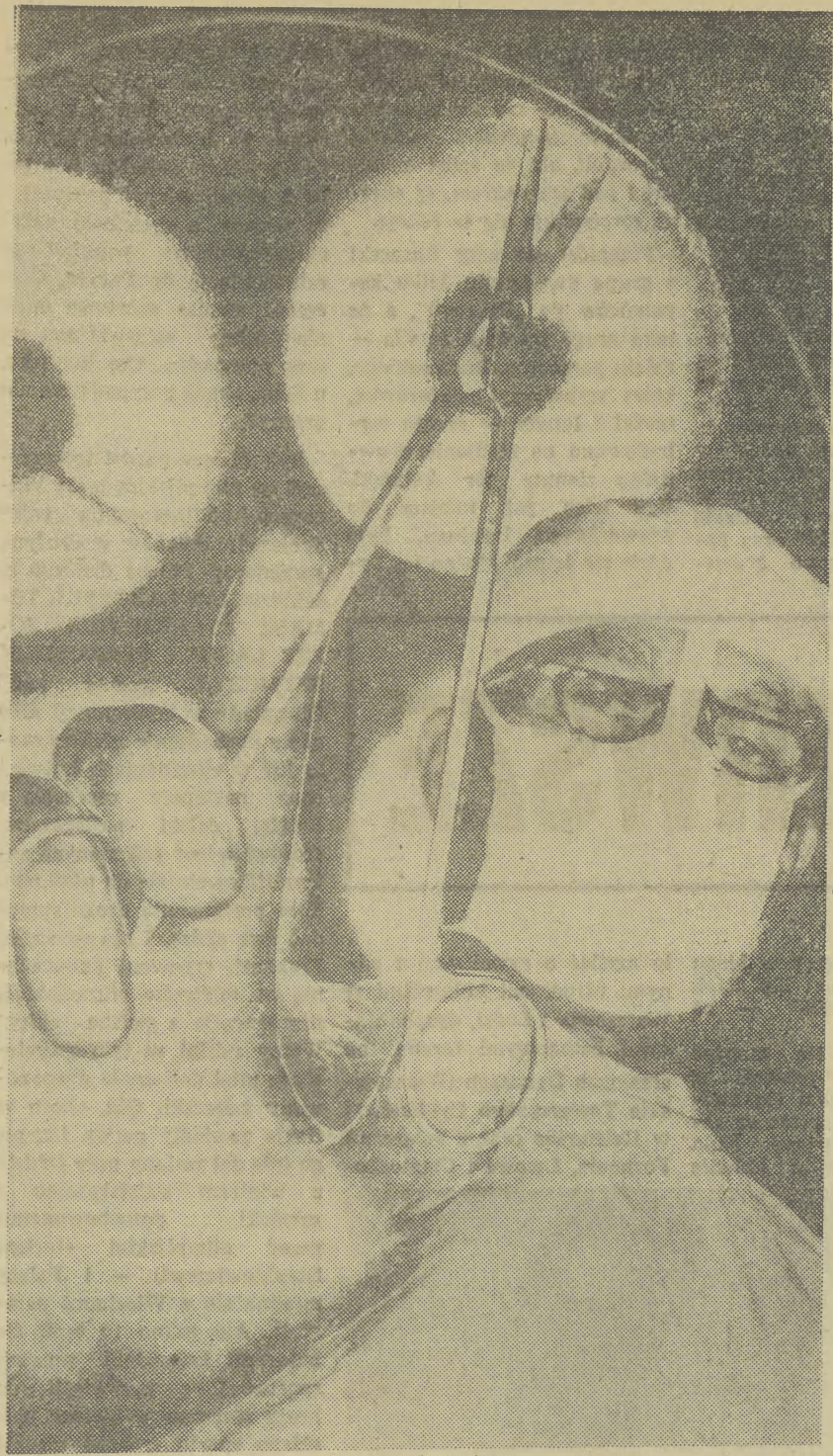
Ocenili już wtedy, w Pary- żu...

W chwili olimpijskiego triumfu Łazar- ski miał już 32 lata. „Rozprawił się” potem je- szcze srodze na Dynasach z o- limpijskim mistrzem Holen- drem Willemsem, zdobył sprinterskie mistrzostwo Pol- ski w 1925 i 1926 r., startował na mistrzostwach świata w Amsterdamie (1925 r.) i Medio- lanie (1926). Powoli jednak trzeba było zostawać się z be- tonowym torem. Łazar- ski star- tował jeszcze wprawdzie od czasu do czasu — ale właści- wie zszedł już z areny. Rower zamienił na motocykl, próbował wyścigów motorowych, z którymi skończył definitywnie dopiero w 1947 r., po ciężkim wypadku ulicznym. Skompli- kowana trepanacja czaszki u- ratowała mu wówczas życie.

Po rozstaniu ze sportem Ła- zarski poświęcił się już całko- wicie pracy zawodowej. O tym, jak potrafił leczyć samochody świadczyła przez całe lata naj- lepiej jego bagażówka „polski fiat”, nabyta w oplakany stanie w 1945 r., do końca na chodzie, choć tylko w rękach ostatniego właściciela przeby- ła dobre 1,5 miliona kilome- trów. Już w czterdziestym piątym wymagała kapitalnego remontu, a od tego czasu miała tylko trzy generalki — wspo- minał z dumą mistrz Łazar- ski.

Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni, na ścianie warsztatu wisiał wyczynowy rower mar- ki „Warren-Warszawa”, otrzy- many w nagrodę za olimpijski sukces. — To był bardzo do- brzy rower, na angielskich czę- ściach BSA, rama z rur stalow- ych — ale na Olimpiadzie jeździłem jeszcze na „Zawadz- kim”, znacznie słabszym, z ra- mą ze związanej spawanej bla- chy. Na wyblakłych, dedyko- wanych Łazar- skiemu fotogra- fiach z rodzinnego archiwum przesuwały się twarze dzie- siątków sławnych przed blisko pół wiekiem sportowców. Twa- rze sportowców różnych kra- jów, kiedyś konkurentów ale i przyjaciół, sportowców, któ- rych zbierała wielka idea olimpijska.

WOJCIECH PYKOSZ



Fot. Archiwum

RYSZARD CHORUZ

LANCET

Jest roślinka dość dobrze żyjąca w naszym klimacie. Ma drobne, żółte kwiatki. Jeśli dotknąć delikatnie palcem jej liści — to natychmiast chowają się a łodyżki opadają. Skutlona młodość. Delikatna jak młodość jest... kobieta — tak przynajmniej mówią poeci. Delikatny jest także problem, który chce przedstawić. Delikatny — bo dotyczy serca. Tak — tego niewielkiego mięsiska będącego motorem naszego organizmu.

Odwiedziłem Szpital Specjalistyczny im. dr Anki w Krakowie, gdzie tę skomplikowaną operację przeprowadzał doc. dr med. hab. Michał Juszczynski.

Uśpioną 14-letnią Hanie ułożono na stole operacyjnym. Ostry lancet otwiera klatkę piersiową małej pacjentki. Chirurg łączy układ krwio-

nośny ze skomplikowanym aparatem, sztucznym płucem-sercem, które będzie zastępowało prawdziwe serce w czasie operacji. Po zainstalowaniu płuc-serca zaciska się specjalne klamry na żyłach i na aorcie. Odtąd przepływa krew zamiast do serca przynajmniej będzie przez aparat. Pozbawione przepływu krwi — puste serce, przestaje bić. Docent lancetem przecina serce i specjalnymi haczykami rozwiera jego połowę. W głębi przedsionka widać defekt — cel operacji. Ubytek przegrody międzyprzedsionkowej sersuska Hani powoduje szkodliwie dla ustroju mieszanie się krwi żyłnej z tętniczą. Jest to wrodzona wada serca, którą trzeba za wszelką cenę usunąć. Białe kitle i maski, cisza i skupienie — ci- chutko pracują aparaty. O życiu Ha-

ni decyduje czas i precyzja operującego zespołu. Pochyleni nad stołem chirurdzy pracują w skupieniu. Delikatne są ich ręce.

Ileż to już razy ręce te ratowały gasnące życie, ile razy znowu trzeba było się przyznać do przegranej?

*

Wszystko zaczęło się w 1952 roku. Wtedy właśnie dr Michał Juszczynski przeprowadził pierwszą w Polsce operację serca. Zabieg był udany; operowano zastawki. Fachowo nazywa się to: komisurotomia czyli rozwarciem zmienionych chorobowo zastawek.

Pierwszym nauczycielem ówczesnego dr Juszczynskiego był słynny szwedzki kardiolog Clarence Crafoord — twórca światowej chirurgii serca. W Szwecji Juszczynski współpracował także z prof. Wikin-giem Björkiem (obecny następca Crafoorda) w eksperymentalnych próbach nad zastosowaniem sztucznego płuco-serca. Były to pionierskie prace. Po powrocie do kraju jako stypendysta Ministerstwa Zdrowia pracuje w klinice prof. Leona Man-teuffla w Warszawie, biorąc udział w pierwszych operacjach naczyń sercowych. Ostatecznego szlif swój specjalności nabył w Paryżu, gdzie przy stole operacyjnym wraz z Christianem Barnardem praktyko-wali w słynnej klinice profesora Du-bosta.

Wielu polskich lekarzy odbyło tak poważne studia, ale właśnie Jusz-czynski był tym, który jako pierwszy w kraju przeprowadził pionier-skie zabiegi: cewnikowanie serca, czy też wspomnianą komisurotomię.

W miarę nabywania coraz więk-szego doświadczenia przez zespół o-peracyjny, w szpitalu dr Anki po-daje się obecnie coraz trudniej-sze zabiegi np. wszczepianie sztucz-nych zastawek serca. Skomplikowa-na to operacja. Juszczynskiemu szczęście sprzyja, choć nie zawsze. Niekiedy zdarza się, że pacjent zbyt późno decyduje się na pomoc lekar-ską. Wtedy szanse ratunku dla niego są o wiele mniejsze. Jednakże na-wet w takich przypadkach o życie każdego pacjenta walczy się do koń-ca. Obecnie kardiologia ma du- że możliwości — aż do wymiany ser-ca włącznie. Zespół doc. Juszczyn-skiego nie podjął się dotychczas te-go rodzaju zabiegu. Czyżby umiejęt-ności nie stało?

Nie w tym problem. W ostatnich latach osiągnięcia techniki kardiolo-gicznej były nieproporcjonalnie duże — nie nadążał za nią rozwój innych dziedzin medycyny. Nauka nie opanowała bowiem dostatecznie biologii przeszczepów. Z po-nad kilkuset operacji transplantacji serca jakie przeprowadzono w wię-cie, najdłuższe ich przeżycie przez pacjentów trwało dwa i pół roku. Transplantacje były co prawda uda-ne, jednakże przeszczepione serce zostawało odrzucone przez ustrój o-perowanego. W całym świecie pracuje się obecnie eksperymentalnie nad pokonaniem tych trudności. Bardzo poważne osiągnięcia w tej dziedzi-nie mają ośrodki radzieckie. Dlatego też Juszczynski odwiedza kliniki kardiologiczne w Moskwie i Le-ninradzie. Od lat trwa nawiązana serdeczna współpraca — korzystna dla obu stron wymiana doświadczeń. Radzieckie koleżdy „po fachu” wyso-co cenią sobie tę współpracę. W 1970 roku odznaczili Juszczynskiego „Me-dalem Instytutu Chirurgii Akademii Nauk ZSRR”.

*

Starsi kibice sportowi chyba pa-mietają. W 1938 i 39 roku Juszczyn-ski był mistrzem Polski w wioślar-stwie. Ta namietność pozostała do dnia dzisiejszego. Docenta niejedn-o-krotnie można zobaczyć gdy na

„skiffle” przemierza Wisłę trasą z Krakowa do Białej i z powrotem. 10-kilometrowy trening wioślarski, doskonale ponoć wpływa na kondy-cję.

W swoim środowisku jest wysoko ceniony choć... nie zawsze lubiany. Jest zwolennikiem żelaznej dyscypli-ny w szpitalu. Nie toleruje żadnych niedociągnień — dzięki temu skom-plikowane tryby maszyn szpitalnej funkcjonują niezawodnie. Chyba właśnie dlatego — w krótkim czasie skompletował bardzo dobry zespół współpracowników.

*

Rozmawiamy o organizacji ośrodka kardiologicznego w Krako-wie. W kardiologii postępowanie lecznicze składa się z diagnostyki, właściwego leczenia i rehabilitacji. Istnieją opinie, że w Krakowie ciał-sny partykularizm, mający wielo-letnie już tradycje, doprowadził do sytuacji w której: diagnostyką zaj-muje się Klinika Wad Serca przy ul. Kopernika 17 (oddział przy 32 łóżka) a leczenie właściwe (operaty-wę) prowadzi: szpital im. dr Anki przy ul. Prądnickiej (70 łóżek) oraz „czerwona” chirurgia przy ul. Ko-pernika 19 (30 łóżek). Nie zorganizowa-no zupełnie oddziału rehabilitacji. Z konieczności prowadzi go oddział diagnostyki. Dlatego nie Kraków przoduje w leczeniu kardiologicznym, choć mógłby, bo ludzi zdol-nych mamy i to dużo.

Jak widzi rozwiązanie tego proble-mu doc. Juszczynski?

Kraków posiada odpowiednią ilość aparatury i naukowców, aby po do-konaniu rozsądnej integracji swych wysiłków stworzyć reprezentatywny zespół, zadaniem którego byłoby do-sięgnięcie w przeciągu kilku lat pro-dujących polskich ośrodków. Pewne nadzieje uporządkowania tych spraw budzi powołanie przez obecnego rektora Akademii Medycznej prof. dr hab. T. Popiele komisią ds. inte-gracji kardiologii i kardiologii. Oby to nastąpiło jak najszybciej.

Analiza tego mariażu wykazuje, że koncentracja potencjału sił połączo-nych pod jednym dachem oddzia-łów posiadających jedno kierownic-two radykalnie zmieni katastrofalny stan do jakiego doprowadzono do-tychczas.

23 lipca doc. dr hab. Michała Juszczynskiego — to zwykły dzień pracy. Wizyty u chorych, konsulta-cje, zabiegi. Choć może nie tak cał-kiem zwykły dzień. Docent otrzymał właśnie Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski — to zaszczytne odznaczenie przyniosła Rada Państwa za całokształt pracy naukowej i spo-łecznej.

*

Delikatne są ręce chirurga. Nad-chodzi kulminacyjny moment opera-cji — próba zamknięcia ubytku mię-dzyprzedsionkowego. Ponieważ jest on zbyt duży, zachodzi konieczność zamknięcia go łąką z tworzywa sztucznego (teflonu). Chirurg zamienia się w krawca. Igła, nitka, szereg do-kladnie założonych szwów, kilka zre-cznych ruchów — otwór w prze-grodzie został zatknięty. Cel operacji osiągnięty. Teraz wszystko odbywa się w kłótni ośmiu osób. Krótki za-bieg zwany reanimacją ma na celu uruchomienie prawdziwego serca. Serce podjęło akcję. Biję i będzie funkcjonowało prawidłowo. Odlące-zanie niepotrzebnego już sztucznego płuco-serca, ostatnie zabiegi „ko-smetyczne” i śpiąca Hania przenie-siona zostaje do łóżka. Gdy otworzy oczy, zobaczy sympatycznego, szpa-kowatego pana doktora czekającego na jej przebudzenie. Docent zawsze czeka na i to i moment ten jest dla niego najistotniejszy.

Pożegnanie Afryki

Biała, delikatna mgła leżała nad morzem, z niej dopiero wyrastały góry. Leżąc na ru-fie na pojeźniakach ze sprzętem ratunkowym zgnębiał Afrykę. Coraz dalej zostawały z tyłu szluby Herkulesa. Ze względu na złą widoczność wzdłuż horyzontu, statek — ta że sama co w tamtą stronę „Virgin de Afryka” — co kilka minut dawał sygnał. Czasami od-powiadali mu syreny innych statków, prze-pływających gdzieś obok we mgle ciemną. Wreszcie wysoko, znad białych oparów wy-nurzyła się skała Gibraltaru.

Teraz, wracając powoli przez Europę do Polski, zwiędział Hiszpanię, mamy już chy-ba tę prawdziwą, egzotyczną wyprawę poza sobą. Równy miesiąc spędzony na czarnym kontynencie minął jak kilkugodzinny sen.

Po pustyni, górach i osadach ostatnie wra-żenie zrobiły na nas miasta północnej Afryki, nie te zeuropeizowane metropolie, jak Algier, Rabat czy Casablanca, ale ostatnie wyspy arabskiego starożytności — El Golea, Ghar-daj, Fez czy Marakesz. Robią fantastyczne wrażenie oglądanych od środka mrowisk: u-liczki jak tunele, wąskie na szerokość roz-stawionych ramion, ciemność, ludzie siedzący na progu, schodki w górę i w dół, do meczetu. W wieczorem na ulicach ożywiony ruch, ale tylko meczety; siwobrodzi starcy spoczywają dostojnie przed swoimi domami, a handlarze chwytają za rękę i wciągają na siłę do każdego sklepu i kina. Po wej-siu, bosko oczywiście, do meczetu tamtejszy duchowny wyjaśnia, że po zmroku jest za-kaz dla cudzoziemców przebywania na te-rienie świętego miasta i odprowadza z powro-tem do bramy. Oto fragmenty wrażeń zano-towanych w dzienniku podróży w Fezie. „Sta-rego Fezu nie podejmuję się opisywać, nie byłem nigdy w ulu pszczoł, ale tak po so-bie wyobrażałem. Każdym człowiekiem, zau-kiem, witrą, osłkiem, który tarasuje u-liczkę — wszystkim rządzi handel. Miejsca-mi, tam gdzie wyprawiają skóry — potwór-ny odór, trzeba się cofnąć. W ciemności, w wąskich, krętych, popłatanych tunelach uliczkę błyskawicznie traci się orientację. Co krok rzeźbione w murze, spływające wodą wspa-niale studnie! Nie sposób tu poruszać się w większej niż 3-4 osobowej grupie; labiryntu żadaj się nie kończyć, o ponownym trafie-niu na to samo miejsce nie ma mowy. Wecho-dzimy do jakiegoś bogatego sklepu — sprze-dawca z miejsca zjawia się, chwile na fa-chowo ogląda, a potem prosi na górę do o-

sobnych apartamentów. Rzeczywiście tych wnętrz przewyższa bajki o przepychu Wschodu — fotele, dywany, złota biżuteria, mister-ne drobiazgi ze srebra i brązu. Oglądamy dłu-gie działy z kapłanami, ale ten przedsię-biorca szanuje się, z góry mówi, że nie opu-szcza żadnej ceny więcej niż o dwa — trzy dir-chany. Ileż to rzeczy nas urzeka — za dro-gich. Za to w następnym, mniej ekskluzy-wnym lokalu wyhandlowuję kolorowy kaftan za 15 dirhamów. Tu dopiero obowiązują za-sady. Klient nasz pan. Sprzedawca skacze kolo mule, co chwila otrzepuje mi ubranie, każe mi przymierzać, wyciąga coraz to nowe. Rozmawiać by nie potrafił, ale handluje pierwszorzędnie przynajmniej w trzech jezy-kach. Oczywiście pierwsza cena jest 2-3-krotnie wyższa, opuszczając ją sprzedawca prawie płacze. Potem nie chce wydać reszty, przynosi za nią coraz to nowe drobiazgi, aż wreszcie coś oszołomi cię i ulegniesz.

W jeszcze innym sklepie aż trzech sprze-dawców, krzycząc mi bez przerwy do ucha „how much?” — ile ja jestem gotów zapła-cić, ciągnie mnie siłą za rękę do wnętrza, ko-ledzy nie mogą poradzić ciągnąć z drugiej strony (jest mało czasu i w dodatku zgubi-liśmy się) i muszę dopiero podać sześciokrot-nie niższą cenę od zwykle proponowanej, że-by zostawił mnie w spokoju...”

Z tych egzotycznych ciekawostek, który i tak nie sposób spisać ani zapamiętać, trzeba tu jeszcze koniecznie zanotować spotkanie z polskimi wędzami.

„Arab śledzący na skrzynce skłnął na mnie, po chwili wahania przystąpił do o-druhowania się cofnąłem, kiedy ze skrzyni wy-jęł kolorowego węża z ruchomym, rozwido-nym językiem. Tu Andrzej przystąpił do za-je-cia, ale kiedy zaczęliśmy się oddalać, gość rzucił się za nami, a tłum złowrogo zasze-rzał, jakby nas chciał ukamienować — chodź-to o dirhama zapłaty, którego zresztą Andrzej szybko oddał...”

Czy wrócimy jeszcze kiedyś do tych dale-kich, przedziwnych krajów? Czy też może nigdy już nie powtórzy się taka „wyprawa do księżycowego cienia?”

Czas kończyć, bo ten czas dzisiaj liczy się do godziny wpół do dziesiątej wieczór — a o tej godzinie, w sobotę, zaczyna się w Se-willi czterogodzinna, wielka corrida.

J. M. ZAZULA



RUCH NA SZCZYTACH

Rozjechali się w świat polscy alpinści. Nie brak także wśród nich i przedstawicieli śro-dowisk: krakowskiego oraz zakopiańskiego, które od lat należą do najsilniejszych i cze-śniejszych w polskiej alpinistyce. W peruwiańskich An-dach — o czym już zeszłą informowaliśmy — przebywa 8-osobowa grupa zakopiań-skich, która ustawiła się już zdobywając naj-wyższego szczytu Peru Huascaran (6.786 m) o-ras dokonała dwóch pierwszych polskich wejść na Alampayo (6.110 m) i Huandoy (6.396 m).

Z Pamiru nadeszła wiadomość o krakowa-niu Andrzeja Heinricha, który wchodził w skład 4-osobowej polskiej grupy. Polacy wraz z radzieckimi alpinistami zamierzają sztur-mować Pik Komunizmu (7.495 m). Trasa na szczyt prowadzi przez tzw. „filary Tadzyców” — jest to jedna z najtrudniejszych technic-znie dróg. Gdyby wyprawa powiodła się, było-by to — taka jest opinia alpinistów — jed-no z najcięższych polskich osiągnięć tego-rocznego sezonu. Sukces byłby tym cenniej-szy, że jak dotąd jeszcze żadnemu z polskich alpinistów nie udało się wejść na Pik Kom-unizmu właśnie tą drogą. Z ostatnich in-formacji wynika, że polska grupa aklimatyzu-je się w Pamirze; jest właśnie w trakcie zdobywania nieco łatwiejszego technicznie szczytu (Pik Korzeniewskiej), choć liczącego również około 7 tys. metrów.

Przed kilkoma dniami odleciało samolotem do Baku 9 krakowian. Dalsza trasa prowadzi do Teheranu (autobusem), a stąd ponad 1000 km na południe Iranu — w góry Kuh-Rud. Są to góry, których wierzchołki sięgają 4.000 — 4.300 m., pionowe ściany mają ponad 1000 metrów. Cała trudność w tym, że są to gó-ry alpinistycznie dziewicze, nie istnieją żad-ne dokładne opracowania kartograficzne. Le-żą na skrajnie pustyni Lota, stąd też tempera-tury w cieniu nierzadko przekraczają 50 st.!. Kiedy zapytałem kierownika wyprawy Hen-ryka Bednarka — dlaczego wybrali właśnie ten rejon świata usłyszałem w odpowiedzi: My — alpinści, szukamy terenów nie zbuda-nych, w tym tkwi romantyka naszego sportu. Po eksploracji pasma Kuh-Rud ekipa kra-kowska, w skład której wchodzi także dwie kobiety: Grażyna Barbarska i Ewa Waldeck — ma zamiar dotrzeć w północne rejony Ira-nu, gdzie w masywie Elburz znajdują się

najwyższy szczyt tego kraju Demawend (5.670 m). A potem — to już czysto turystycz-na — powrót do kraju autobusami przez Ir-an, Turcję i Bułgarię.

Niecodzienna wyprawa, pierwsza badają ce historię polskiego alpinizmu wyruszyła z po-czątkiem sierpnia do Norwegii. W skład 5-osobowej ekipy wchodzi... same kobiety: A-lia Bednarz, Maria Bieniek, Zofia Gerlach, Elżbieta Lipowska i Ewa Urbanik, a towa-rzyszy im jedyny mężczyzna dr Ryszard Ko-zioł, wyjeżdżający jednak w charakterze ob-serwatora. Celem tej wyprawy jest masyw Trollrygen. Wysokościami góry te nie mogą zaimponować — najwyższe szczyty sięga-ją wysokości 2.400 m — ale ponieważ „wyras-tają” niemalże z morza, alpinści będą mia-ły do pokonania ściany skalne o wysokości 1.500—1.700 m, o skali trudności uwalę nie mniejszej niż ściany alpejskie. W rejonie tym już dwukrotnie przebywali Polacy (1969 la-tem i 1972 zimą), jednakże szereg wejść bę-dzie pierwszymi w historii polskiego alpi-nizmu.

W rejonie Hindukuszu od kilku tygodni znajduje się dziewiątka krakowskich alpi-nistów z Klubu Tatrzańskiego PTTK pod wo-dzą Jerzego Wali. Informacje o wyprawie są — jak dotąd — skąpe, wiadomo jedynie, że krakowianie szczęśliwie dotarli do Kabulu. Celem wyprawy jest eksploracja mało zna-nych rejonów w Hindukuszu w paśmie Ze-baku oraz w dolinie Mandaras. O ile sprzy-jać będą warunki atmosferyczne, alpinści po-kuśnią się o wyjście na szczyt Kohe Schaur (7.116 m).

Dalsze wyprawy z krakowskiego środowiska działają obecnie: w Alpach zachodnio-niemiec-kich (20-osobowa grupa pod kierownictwem K. Mazurkiewicza, w rejonie grupy Walz-manna) oraz na Spitsbergenie (pięciu człon-ków Krakowskiego Akademickiego Klubu Al-pinistycznego) atakując najwyższe ściany lo-dowe: Hornsundtind, Metestén, Tindegga, Kvassegg. A na jesieni w góry Patagonii wyruszy dziesięciu krakowskich alpinistów. O szczegółach tej wyprawy, która obok celów alpinistycznych (zdobycia najwyższych wierz-chołków — Cordon-Mariano-Moreno — 3.536 m i Monte Humboldt 3.500 m) ma również charakter turystyczny (przebiec trasy około 20 tys. km wzdłuż głównego łańcucha Andów) — poinformujemy Czytelników w osobnym materiale. Obiecujemy również, że po powro-cie krakowskich grup z zagranicy przekaże-my szczegółowe relacje z ich wypraw.

ANDRZEJ STANOWSKI

„S stripteaserka”

Przeczytałam artykuł red. Hańdery, a także pierwszy głos w dyskusji — wypowiedzi p. Hessel — na temat „stripteaserki” i po zastanowieniu do-chodzę do wniosku, że p. Hessel ma dużo racji.

Pierwszym uważaniem po przeczy-taniu splotu „Diany” tak mój, jak i kręgu znajomych, z którymi rozmawiałam na ten temat (artykuł był „głoszeniem” numeru GK) — był po prostu śmiech. Dziewczyna, zapewne dość natwra i mało inteligentna, in-stynktownie broni swojej godności i podświadomie szuka usprawiedliwie-nia dla swojej profesji, mówiąc z po-gardą o mężczyznach podniecających się jej gołizną.

Bywam czasem w lokalach nocnych i widziałam parę takich „seansów”, a nie pijąc zbyt wiele, na trzęsio ob-serwowałam mężczyzn, mniej i więcej podstępnych uczestników zabawy — widziałam. Wcale nie powiem, że był tak znowu podniecenie lub palali „zad-za” na widok artystki striptease, ra-czej traktują to z humorem, oceniając szczegółowo urody jak jury konkursu piękności.

Dziwaczek również ładnych a przy tym ciekawych towarzyszywa i dostę-pnych w zasięgu ręki jest w naszych lokalach wieczorem „na pęczki”. Ma-rację natomiast p. Hessel, że równo-cześnie w nawiązaniu do rozmowy z „Dianą” winien znaleźć się głos lub dyskusja z inną dziewczyną, który był-by przechwytującą do takiej postawy mo-ralnej.

Bo jednak poniżej pewnej granicy wieku, młode osoby nie mają skryta-lizowanej opinii własnej i możliwości zarobkowe jakie ukazała „Diana” mo-gą być argumentem do uznania zawo-du stripteaserki jako kariery życio-wej dziewczyny. Nie można liczyć w takim wypadku na ocenę własną Czy-telnika, bo artykuł na fakt temat są czy-tane przez młodzież z zapartym-tchem, a postawa „Diany” była dość sugestywna.

J. K. Kraków

„Subiekt”

Panu, redaktorze Roszko, marzy się uprzejmy subiekt Recki, a mnie się marzy inteligentny obserwator życia, taki jak Bolesław Prus, którego kro-niki po blisko stu latach czytają z za-interesowaniem i sympatią dla ich autora, czego nie mogę pozbiedzić o Pańskich ponurych humoreskach (bo jak to pisanie nazwać?) za „3 grosze”. Pan między innymi uważasz, że dzi-siejsi sprzedawcy są nieuprzejmi, nie-greczni, niekompetentni, ja zaś uw-ażam, że Pan jesteście niegrzeczny wobec

KORESPONDENCJA

mnie jako czytelnika „GK”, ale żeś Pan po prostu zwinił — bo bierzsz Pan za swą wybrakowaną pisaninę więcej, niż przeciętna ekspedientka do-staje za tydzień ciężkiej pracy, jak by nie było pracy. A może byś Pan sięgnął głębiej, do przyczyn powodujących te niedobre sytuacje, nie do ekspendien-tek lub „nas w ogóle”, lecz do oso-bistości ważniejszych, odpowiedzialnych za to, że się dzieje tak źle, jak Pan piszesz. Brakuje Panu doświadczenia, o-wagi? Upominasz się Pan o europejską Polskę, a co Pan sam oferujesz? To ma być ta europejska jakość pu-blicystyki? U!

Z ubolewaniem

E. PIETRASZEK

Marzy mi się dziennikarz z praw-dziwego zdarzenia, który znalby wzię-ty na warsztat temat nie tylko z po-zorów, ale by dotrzedził do istoty rzeczy i dysponował odwagą, by wła-snie o tej istocie rzeczy pisać i ucze-liwie szukać sposobów naprawy. Tak jak dobry lekarz, który nie zabiera się do leczenia choroby likwidując jej zewnętrzne objawy — lecz szuka jej przyczyn i od nich właśnie leczenie zaczyna.

Takie marzenia spowodowała śro-dowa „opera za 3 grosze” redaktora Roszki. Uważałam go zawsze za by-strego, inteligentnego, rzetelnego dzien-nikarza. I chyba tylko wczoraszemu bezwładowi zawdzięczamy to wszyst-ko, co sobie powypisywał o sprzedaw-cach, inkasując mimochodem wierszów-kę wyższą pewno niż wynosi przecięt-nie miesięczne wynagrodzenie „subiek-ta” (nie jest aż tak dobrze — przyp. redakcji).

Bardzo chciałabym spowodować pa-na Roszkę, by na 1 miesiąc zaangażo-wał się jako sprzedawca do spożywc-zego sklepu. Na próbę! Pan Redak-tor na pewno nie „pasł gest”, dyspo-nowałby więc wymarzonymi kwalifi-kacjami na wzorowego sprzedawcę i przez 1 miesiąc miałby okazję „gracko ruszać się po sklepie”, serwować klien-tom — oprócz żądanych towarów — „usługowość, grzeczność i przymiłność”.

I dopiero potem napisałby dobry, obiektywny artykuł.

Tymczasem redaktor Roszko załatwił za „Swoje 3 grosze” porachunki oso-biste: z ekspedientką, która nie była dość „przyjemna”, na co widocznie w danym momencie pan redaktor miał ochotę (a ona — nie!) i z listonoszem, który specjalnie przywiózł mu pocztę,

bo pan redaktor to „Taki, Który Pisuje w Gazetach”. Gładko i taniol! Mam nadzieję, że „Gazeta Krakow-ska”, gazeta naszej codziennej lek-tury, znajmie się kiedyś poważnie spra-wami człowieka ciężkiej pracy, który nazywa się „sprzedawcą” i który sta-nowi (jakże łatwo!) obiekt drwin i zło-śliwości. Dzięki któremu bezpiecznie nabliża się wierszówkę nie narazając się nikomu i nie ryzykując niczego. Na którego bezkarnie można wylewać nie tylko litry atramentu, ale i wiadra po-pluczyny po zwłetrzonym niedły talen-cie.

A sprzedawca to człowiek:

- 1) pracujący ciężko przez ok. 9 go-dzin w ruchu i w biegu,
- 2) zmagający się z żylakami i z tzw. trudnościami obiektywnymi, na które ani nie ma, ani nie może mieć wpływu i wysiłki wyczerpuje na ten temat pretensji klientów zrywanych — często słusznie — różnymi niedomaga-niami handlu,
- 3) znośzący ze spokojem, na jaki go aktualnie stać, niejednokrotnie niegrze-czne, impertynencje zachowanie klien-tów, z których wielu (na szczęście — nie wszyscy!) uważa, że dobre wcho-wanie ich nie obowiązuje, że im — jak „świętym krowom” — wolno uszy-skić!
- 4) z przerwaniem w oczach pamięta-jący ciagle, w każdej minucie o tym, że z powierzonym mu majątku państ-wowego musi się rozliczyć za swoje pomyłki i za cudzą nieuczciwość, ży-jący więc stale pod groźbą potępienia z niewielkiej pensji braków remanen-towych,
- 5) nie mający przeważnie czasu i siły na rozrywki kulturalne i bardzo niewiele na życie osobiste (faktycznie godzinny pracy większości od 11 do 20-tej),
- 6) spędzający wiele — wolnych dla innych ludzi pracy — niedziel i świąt na obsługiwaniu kiermaszy, festynów itp.

Sprzedawca to jednak o bywateł, któremu uwalę nie „wszystko jedno”. W kontakcie z ludźmi i z życiem staje się on raz szybciej raz wolniej zaan-gażowanym pracownikiem i na pewno mógłby by mu było ciężej się z po-chwał pod adresem handlu, niż rumie-nić się słyszac służną krytykę i roz-kładać ręce w bezradnym geście, albo udawać, że to ogóle nie rozumie o co chodzi.

A jeśli sprzedawca jest kobietą — tych jest w handlu olbrzymia więk-szość — a ma do tego rodzinę, dzie-cia?... Nie! Za daleko by mnie to za-prowadziło. Wystarczy przywołać od-robinę wyobraźni, a wszystko będzie ja-sne.

Spotykam przeważnie uprzejmych sprzedawców (czyńcie!), nawet w skle-pach spożywczych i jarmynowych. Na-wet wśród tych, którzy sprzedają nie-szczęsne geści, które im z jaśniepań-skim gestem i pogardą dawnego dzie-dzica wymawia redaktor Roszko.

Może dlatego, że znam warunki ich pracy, nie zachowuję się wobec nich z protekcyjną manierą. Wierzę w ich dobre chęci i fachową opinię o oferowanym towarze i nawet często na kredyt obdarzam ich zaufaniem. Oszczędzam im swoich zbędnych, nie-przemysłowych grymasów, które nara-żaliby ich na niepotrzebny wysiłek. Staram się pamiętać, że są to ludzie zmęczeni ciężką pracą i tak jak wszyst-kim innym należy im tę pracę ula-twiać w ramach przyzwoitych między-ludzkich kontaktów.

Wydaje mi się, że szlandarowe (nie najczystsze zresztą!) hasło handlu: „Klient — nasz pan!” nie powinno w naszym ustroju przekształcać się w ma-ksymę na dziś już nie do przyjęcia, że „Klient — to nasz jaśniepan!”

Nie jest mi wszystko je-dno! I nie chciałabym, aby na skut-ki nieprzeżytych, latnych złości-wość zaczęła wyrastać bariera między klientem a sprzedawcą, gdzie po je-dnej stronie będzie się nawarstwiało lekceważenie i brak zaufania, a po dru-giej — poczucie krzywdy i lodowata, profesjonalna uprzejmość. Lubię lu-bić swoich klientów i bardzo chcę, że-by oni mnie lubili, wszystkim sprzedawcom na pewno bardzo na tym zależy.

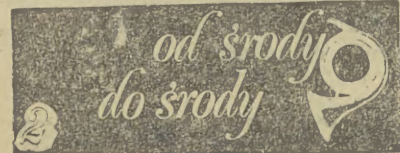
Nie twierdzę też, że mamy samych dobrych sprzedawców. Jak ludzie — są i dobrzy i źli. Po prostu różni. Nie ulega jednak wątpliwości, że są oni może najbardziej bezbranni wobec cieniów i nie cieniów złościwości.

Artykuł redaktora Roszki wywołał w nich na pewno uczucie krzywdy i przy-kroci, sprawił dużo wzburzenia i zła.

W ten sposób niczego się nie na-prawi.

A na kanikule — gdyby wolno mi było wybierać — wolałabym raczej już węża morskiego. Poczciwy jest i stary (jak Recki!), też nikt łącznie z auto-reem nie o nim nie wiedział, nikogo reuelacje o nim nie obrażały, a... wierszówka też leciała.

MARIA KWIECIEŃ



STARO TOPOŁO W ROBCE

Stois samiusieńka
Jak ciek opuszcany,
Ino wiatr ci gwizdo
I krakojam wrony.

Na spełnanej korze
Mos gruzłów niemalo,
Setki raków na nik
Słonko wypisalo.

Ktoz cie tu ostawił,
Kiedy pusce ciyni,
Cymuz cie z tamtymi
Drzewami nie wziyni?

Kieło bazi ciśła
W tyn potok pod tobom
Kie sie syknie góry
Okryły załobom?

Topolo wielgachno,
Cożes za topolo,
Ześ jesce nie zesła
Z robcańskiego pola?

Kieło cie mgieł białok
Odzioło okutsum,
Jageś plakiawo
Za umarłom puscom?

PLACZ PO ZABITYM LESIE

Myślenie wierszem

Nie napisano tego wiersza w języku ogólnym, literackim. To jest gwar. Dlaczego ludzie piszą wiersze gwara? Chocby dlatego, że piszą je po swojemu. Językiem, którym mówią i myślą, który jest w nich. No dobrze, ale gdzie dzisiaj znaleźć myślącego Polaka, co nie zna języka ogólnopolskiego i skazany jest na wyłączenie trzymanie się gwary, dialektu? Chyba coś dla poprawnej, a wspólnej nam wszystkim polszczyzny robi szkoła, radio, wojsko, przemysł, sieć bibliotek i kiosków „Ruchu”? Oczywiście. Toteż Polak współczesny, który urodził się i wychowywał w środowisku gwarowym, najczęściej używa równoległe i na przemian to języka ogólnego, to dialektu swoich rodzinnych stron. Znany rybaków kaszubskich czy świętokrzyskich chłopów, mówiących literacką polszczyzną lepiej niż komentatorzy telewizyjni — i znany redaktorów dużych pism literackich, którzy na co dzień mówią gwara, w jakiej wyrosli. Bardzo pouczającym przykładem jest twórczość tzw. gwarowych poetów. Prawie każdy z nich pisze zarówno utwory w dialekcie jak i w języku ogólnym; czy tak, czy tak — zawsze po swojemu. Antonina Zachara-Wnękowa też.

Lecz skoro poeta nie musi pisać gwara, bo przecież umie inaczej, to czemu gwara wybiera? Gdyż tak woli. Właśnie słowo wybiera jest tu ważne. Gwarowość wiersza jest jedną z jego cech literackich, cechą — jak inne — z wyboru pisarza i musi służyć artystycznemu zamiarowi.

A w naszym wypadku: służy?

Służy. Nasz wiersz to rozmowa z samotnym drzewem. Ogromna topola, być może ostatni szczątek wytrzebionej tu beskidzkiej puszczy — i człowiek, który do topoli mówi, liryczny podmiot wiersza. O drzewie wiemy z tekstu dużo; zaś co wiemy o człowieku mówiącym? Że jest dla topoli życzliwy, więcej: solidarny z nią. Że też — tak samo jak ona i jak góry okoliczne — czuje się ożalobiony po wymordowaniu wiekowego lasu. Że tak jak topola jest podobna do człowieka, tak i ten człowiek w niej jednym spokrewniony jest z topolą. Nie inaczej niż ona wrosł w krajobraz, zakorzenił się w rabczańską tutejszość. Tutejszy zaś do tutejszych jakżeby nie miał mówić po tutejszemu? Więc gwara. Góralska gwara Zagórzan, dokoła Rabki i w Rabce zaszędziących. Do tego nawet w rytmach, dobrze znanych gwarowej chłopiejskiej poezji, również i rabczańskiej. Nie ma przecież bardziej ludowego rozmiaru wiersza niż sześciostopówko i nie zwrotki mocniej do folkloru przynależnej niż te czterowiersze o jednym tylko rymie. Można by je od razu śpiewać. Wszystkimi się skojarzy:

Haniś, moja Haniś,
Cożes za Haniśa,
Ześ mi nie podała
Rączki na koniśta?

Zatem rozmowa o puszczy, płacz po niej. Puszcze cieli nad górą Rabą od samego brzusku dziejów, kiedy przyszedł tu pierwszy osadnik. I wtedy także, gdy w XIII wieku Rabka dostała się Cystersom, od niedawna w Szczyrcu władającym; i o trzy stulecia później, gdy gwałtem doszukiwano się tu pokładów soli, które nie istnieją; i pod czarno-żółtą austriacką zwierzchnością, w dziewiętnastowiecznym pośpiechu bogacenia się za wszelką cenę. Wtedy padło najwięcej drzew i nad tymi pewno stratami najbardziej boleje nasza samotna topola. W swym bólu doprawdy ludzka: ciskająca bazie jak ludzie rzucają kwiaty na grób, płacząca, opuszczona, przez białe mgły odziana łoktuszą (znów pożytek z gwary: tutejszemu wiadomo od razu, co to jest za rodzaj białej, linańczej chusty na płeć; a „miastowy” długo pomyśli, nim przypomniał sobie jakąś łoktuszę w średniowiecznym dialogu Mistrza Polikarpa ze śmiercią). Takie uczucie (a n t r o p o m o r f i z a c j a) drzewa w wierszu pozwoliło poetce wyrazić dobitniej myśl o związku człowieka i świata przyrody, o współzależności — i podobieństwie przecież — ich losów. Myśl to z dawna już bliska Wnękowej, rabczańskiej ogrodnicze i wnuczce tutejszego Górala. Jej młodzieńczy dramat „Nieznany żołnierz” (1925), cały przeniknięty lasem, też traktuje „odwieczne drzewa” jako szacownych świadków i komentatorów historii ludzkiej. A w którymś później jej wierszu znajdujemy proste wyznaczenie: „jeżdek siostrom zbożo... traw, kwiatków i lasu”.

Wiersz o topoli płacze. Ludowymi zwrotkami śpiewa gorzki żal po zabitym lesie. Śpiewa głosem drzewa — i głosem człowieka. Jest lamentem, ale też poważna namowa: by w przyszłości ludzie bezrozumnie nie zabijali przyrody, bo zabijają tym sposobem siebie. Nazbyt są z przyrodą tożsami.

ZBIGNIEW SIATKOWSKI

Borys Griszin — nauczyciel pracujący w technikum w Kałudze skonstruował na swój prywatny użytek robota, pełniącego funkcję sekretarza, niańki, pomocy domowej, stróża i w razie potrzeby — gospodarza domu. Robot stał się na tyle sławny, że wielu fotoreporterów i dziennikarzy przybywa do domu Griszina robić sensacyjne reportaże.

A wszystko się zaczęło — jak opowiada Griszin w reportażu zamieszczonym w radzieckim miesięczniku „Sputnik” — od choroby jego matki. Staruszka nie mogła chodzić, Griszin musiał pracować, a bał się pozostawić matkę na dłuższy czas bez opieki. Zabrał się więc do konstruowania prostego robota radioelektrycznego, który mógłby podawać chorej lekarstwa, wodę, jedzenie i w razie potrzeby dzwonić po pogotowie ratunkowe. Budował swego robota przez dwa lata. Złożył go z ponad 20 tys. detali połączonych ze sobą kablami i zasilanych prądem. To wszystko z kolei połączył z pięcioma magnetofonami i z przeszło 20 przekątnymi, rozlokowanymi po całym mieszkaniu. I tak powstał ARS — automatyczny radioelektryczny sekretarz.

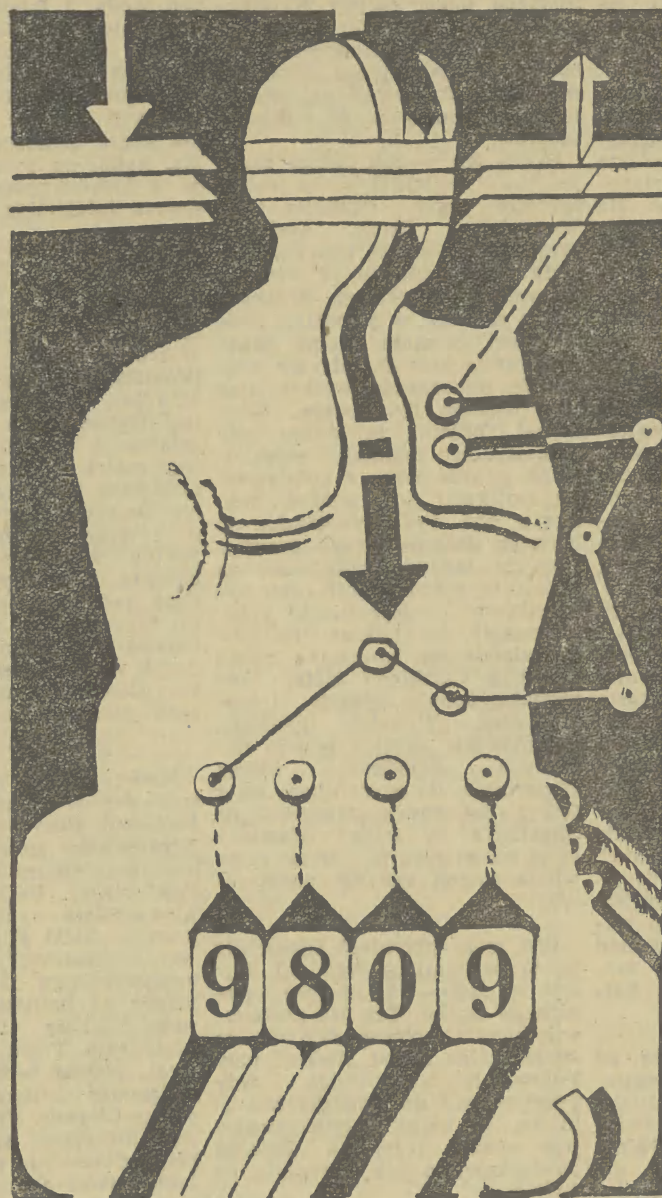
Ktoregoś dnia zadzwonił telefon — moskiewski dziennikarz prosił Griszina o jeszcze jeden reportaż. Dziennikarz miał przyjechać następnego dnia około południa. Griszin jak zwykle poszedł do pracy.

Gość z Moskwy — tak, jak się umawiał z Griszinem — zadzwonił z dworca do jego mieszkania. W słuchawce usłyszał głos Griszina zapisany na taśmie magnetofonowej: „Mówi Robot. Griszina obecnie nie ma w domu. Jeśli chce pan mu coś przekazać, to proszę mówić. Automat przez jedną minutę zapisywać będzie pańską rozmowę. Korespondenta z Moskwy proszę o przyjeździe do domu przy ulicy Pierowskiej 4. Z dworca można przyjechać trolejbusem nr 1 do placu Lenina”. Korespondent odpowiedział, że zaraz przyjdzie.

Za pół godziny, wtedy, kiedy w technikum była przerwa między lekcjami, w pokoju Griszina zadzwonił telefon. Wzywał go Robot. Odtworzył cały zapis na taśmie wraz z rozmową z moskiewskim korespondentem. Kiedy taśma się skończyła — Robot odłożył słuchawkę. Wtedy Griszin zadzwonił do swojego domu i musiał wysłuchać najpierw siebie samego: „Mówi Robot. Griszina obecnie nie ma w domu... itd.” Robot bowiem nie odróżnia po głosie, czy dzwoni pan domu, czy jego znajomi. Potem Griszin miał tak, jak każdy, minutę na rozmowę. Griszin odezwał się minutę i usłyszał: „Dziękuję panu. Pański czas już minął. Proszę odłożyć słuchawkę”. Dla Griszina zdania te były sygnałem, że za chwilę otworzy się tzw. wejście poleceniowe. Kiedy Robot przestał mówić, Griszin za pomocą gwizdka nastrojenego na częstotliwość 1100 herców dał znać swemu sekretarzowi, że zaczyna podawać komendy. Kazał mu przede wszystkim skasować na taśmie zapis dotyczący korespondenta. Następnie zapisał czas powrotu do domu. Poleciał Robotowi otworzyć drzwi, kiedy przyjdzie korespondent i kazał mu pozować do zdjęcia. A na koniec poprosił, żeby Robot zastąpił go w obowiązkach pana domu i żeby zadzwonił na dworzec kolejowy, sprawdził, o której odchodzi pociąg z Kaługi do Moskwy i poinformował o tym korespondenta. Robot na każdą komendę mówił „zrozumiałem”. Oznaczało to, że komendy zostały zapisane.

Korespondent przyjechał pod wskazany adres i nacisnął dzwonek u wejścia. Przez domofon usłyszał: „Griszina nie ma w domu. Korespondent proszony jest do mieszkania”. Wszedł więc, a Robot wstał z krzesła, podszedł do niego i podniósł rękę na powitanie: „— Dzień dobry. Nazywam się ARS. Proszę się rozobrać i wejść do pokoju. Proszę posłuchać muzyki i napić się wody mineralnej. Może mnie pan fotografować?”. Po czym cofnął się do tyłu, włączył magnetofon z muzyką, wziął lewą „ręką” butelkę z wodą mineralną, prawą szklankę, zdjął z butelki kapsel i wlał wodę do szklanki. Postawił ją na stole przed gościem. Następnie ustawił się do fotografii, włączył przedmiotem dodatkowe oświetlenie. Dziennikarz zaczął szukać dogodnego miejsca do zrobienia zdjęcia, już miał „pstryknąć”,

sekretarz i niańka



Robot zaczął się ruszać. Przypomniawszy sobie o jednym poleceniu. Wykreślił numer do informacji dworcowej, poprosił o rozkład jazdy pociągów z Kaługi do Moskwy, zapisał go na taśmie magnetofonowej i odłożył słuchawkę. Dziennikarz zaczął przygotowywać się do robienia zdjęć, ale ARS po chwili znowu „ożył”. Pokręcił głową, poprosił korespondenta o chwilę uwagi i odtworzył mu zapis rozkładu jazdy pociągów.

Kiedy Griszin powrócił do domu, korespondent detchnął z ulgą. Robot, robotem, wiadomo, że pracuje według ścisłego programu, ale nigdy nic nie wiadomo. Tym bardziej, że Robot o postaci zwalistego, wielkiego człowieka robi zawsze na przybyszach duże wrażenie.

Griszin sam miał dziwne przygody ze swoim automa-tem. Kiedyś zaczął majstrować przy jego „nogach”, chcąc sprawdzić działanie systemów i nagle nieoczekiwanie Robot zaczął wzywać pogotowie ratunkowe. Griszin przerwał mu tę akcję, odwołał pomoc, wyłączył swego Robota i zaczął zastanawiać się nad przyczyną nieoczekiwanego zachowania. Sądził, że powstało coś w rodzaju „spiecia”, coś, co zmyliło Robota. Kiedy jednak zaczął jednak dokładnie analizować, okazało się, że Robot zachował się normalnie, a powodem wzywania pogotowia ratunkowego stał się kot sąsiadów. Kot nie zauważony przez Griszina siadł na tzw. chorym krześle. Było to zwykłe krzesło posiadające jednak wmontowany czujnik, który reagował na naciskanie. Krzesło to Griszin przygotował dla swojej chorej matki. Wystarczyło, żeby na nim usiadła, a Robot natychmiast wzywał pogotowie ratunkowe. A ponieważ w domu nie było żadnych zwierząt — Griszin nie brał takiego przypadku pod uwagę. Kiedy się okazało, że nawet mały, lekki kot może być powodem wszczęcia akcji — Griszin musiał odpowiednio zmodernizować „chore krzesło”.

Jako „siostra miłosierdzia” Robot miał wysokie kwalifikacje. Wiedzą, elektryk matką Griszina źle się poczuła, podawał jej wodę, przysuwał stół z lekarstwami, telefonicznie wzywał lekarza. Okazał się również doskonałą pomocą domową. Griszin mógł być kilka tysięcy kilometrów od domu i o nie nie musiał się bać. Jeśli wydawało mu się, że zapomni np. wyłączyć żelazko lub maszynkę elektryczną, to wiedział, że ma dwa zabezpieczenia. Pierwsze — to „wrażliwy” Robota na podwyższoną temperaturę w domu. Zawsze, elektryk Griszin sztucznie wywoływał pożar — Robot natychmiast wzywał straż pożarną i milicję. Drugie zabezpieczenie — to możliwość wydawania komend przez telefon. Będąc np. we Władystoku mógł zadzwonić do domu i kazać Robotowi wyłączyć żelazko, maszynkę, gaz, zakręcić wodę w kranach itp.

Kiedy córka Griszina była jeszcze niemowlęciem — Robot stał się doskonałą niańką. Można było dziecko zostawić samo z taką „opiekunką”. Griszin obudował łóżeczko córki przekątnikami, reagującymi na płacz, sen, zabawę, mokre pieluszki itd. Jeśli coś było nie w porządku — Robot mówił do rodziców: „Rodzice, Julia potrzebuje waszej opieki”. Jeśli rodzice byli w domu, a mimo to nie reagowali na sygnał Robota — ten zaczynał włączyć i wyłączać sygnały świetlne i czynił to do tej pory, dopóki nie usłyszał: „— Tak, tak, maleństwo otrzymało już pomoc”.

Kiedy dziecko trochę podrosło — rodzice mogli spokojnie wychodzić wieczorami z domu. Co pewien czas dzwonił do domu i dowiadywali się, co robi córka. Jeśli żona nie dowierzała np., że Julia śpi — robot podsuwał słuchawkę do dziecka i matka mogła usłyszeć miarowy oddech maleń.

ARS pełni poza tym wiele innych funkcji: budzi, przypomina o najważniejszych sprawach, włącza i wyłącza telewizor, radio, adapter, nagrywa podczas nieobecności Griszina i jego małżonki ciekawe audycje, przewietrza mieszkanie, planuje właściwą temperaturę w mieszkaniu, słowem — jest do wszystkiego. Griszin mógłby go bardziej udoskonalić. Ale — jak powiada — ARS na użytek domowy i tak jest już bardzo „utalentowany”. (zwrz)

SZKICE KRYNICKIE ♦ ANTONI WASILEWSKI



Krynica już tyle razy była filmowana, telewizowana i fotografowana, że warto raz ją ująć w rysunku. Otóż ostatnio Krynica kwitnie jak na nawaocach super- ultra sztucznych. Zaraziła ją Piwniczka, przebogata w kwieci- stę dzbanę, kosze, kubki i rabały. Toteż pomaluj Krynica zmienia się w Ciechocinek. Tu ogrodnicy pracują jak konie — a konie znowu plewią ładne kwiatki...

Chyba nie ma w Polsce miejscowości tak bogatej w ławki, jak — Perla Wód. Tu każda ławka ławkę goni, szczyple, dotyka. Toteż w Krynicy jest na czym usiąść. A jak ze smakiem są wymalowane — w pastelowych kolorach, aż oko raduje się. A na każdej ławce same „Jany”, „Karole”, „Zubery” i ani jednej „Pepsi-Coli”...

Gdzie jak gdzie, ale w Krynicy warto podziwiać kreacje mody — nawet peruki. Pokaz ten trwa codziennie od rana do nocy, podziwiany nawet przez bernardynów, pozujących na każde zawołanie fotografa. Jak wiemy, bocianny w Krynicy stały się już niemożliwe i Krynica zesłała teraz na psy...

WSZYSCY JESTEŚMY SĘDZIAMI — WYROK ZA DWA TYGODNIE ♦ WSZYSCY JESTEŚMY SĘDZIAMI — WYROK ZA DWA TYGODNIE

Strach panował w tym domu. Domownicy z niepokojem oczekiwali powrotu Franciszka J. — męża, ojca i zięcia w jednej osobie; bowiem gdy wracał do domu pijany — to bił. Obrzucał ordynarnymi wyzwiskami żonę, teściową, maltretował je. Na białostwo ojca patrzyła dwójka małych dzieci. Dochodziło do coraz częstszych awantur, po kilka razy w tygodniu. Żona posiniaczona, wielokrotnie musiała ratować się ucieczką przed pijanym młodym mężczyzną.

Franciszek J. miał 23 lata gdy został ekazany za napad rabunkowy na dwa lata pozbawienia wolności, lecz został przedterminowo zwolniony z więzienia; awantury nasiliły się. Żona Zofia w obawie przed pijanym mężem musiała szukać schronienia u sąsiadów. Wracała dopiero gdy usnął. Bywało, że groził członkom rodziny zabiciem.

Nigdy nie podnosił ręki na nikogo, a tym bardziej na swoich bliskich. Wrecał przecież, to oni mu dokuczali, zęcali się nad nim, bili go. Nieprawda, że lubi zaglądać do kieliszka. Jest spokojnym, uczciwym człowiekiem, którego chcą niewinnie zamknąć w kryminale.

Tym razem interweniowała milicja. Nawet pojawienie się funkcjonariusza MO nie ostrażowało Franciszka J. Chwylił jednego z milicjantów pod gardło i zaczął dusić. Z opresji wyratował kolegę dopiero drugi funkcjonariusz, poskramiając rozwścieczonego pijakę.

Franciszek J. został zatrzymany i aresztowany a prokurator oskarżył go o to, że:

po pierwsze: w okresie trzech lat zęcał się fizycznie i moralnie nad żoną oraz teściową bijąc je i znieważając obelżywymi słowami, groząc zabiciem, przy czym czynu tego dopuścił się przed upływem pięciu lat od odbycia kary za podobne przestępstwo, to jest z art. 184 § 1 KK w związku z art. 60 § 1 KK.

Po drugie: dopuścił się czynnej napaści na pełniącego obowiązki służbowo funkcjonariusza MO dusząc go rękami pod szyję to jest z art. 234 § 1 KK.

Po trzecie: wypowiadał pod adresem bratowej żony groźby zabicia, które z uwagi na agresywny charakter i poprzednią karalność wzbudziły u zagrożonej obawę urzeczywistnienia to jest z art. 166 § 1 KK. W związku z art. 60 § 1 KK.

W czasie śledztwa jak i podczas rozprawy sądowej oskarżony nie przyznał się do zarzucanych mu czynów, a w złożonych wyjaśnieniach podał, że nigdy nie zęcał się nad rodziną, nie wie z jakich powodów żona uciekała z domu. Dodał, że żona prowokuje go do awantur, nie przygotowuje posi-

JACEK ŻUKOWSKI

KAT CZY ANIOŁEK?

ków, bije go „ja bronię się odpychając ją od siebie, ale nigdy jej nie uderzyłem, gdzie nie chcą mieć sprawy karnej”. Zaprzeczył też, by okonał napaści na funkcjonariusza MO, a przeciwnie wyjaśnił, że w czasie interwencji to on został pobity przez milicjanta — bez żadnej przyczyny.

Wyjaśnienia te są sprzeczne z zebranym materiałem dowodowym.



Okoliczności obciążające:

Czyn, których dopuścił się oskarżony są w wysokim stopniu społecznie niebezpieczne. Powrót do przestępstwa — wszystkich czynów dopuścił się przed upływem pięciu lat od odbycia kary za czynny podobny (art. 60 § 1 KK). Dopuszcł się przestępstwa pod wpływem alkoholu.

Okoliczności łagodzące:

Niski poziom umysłowy oskarżonego.

Kodeks karny:
Art. 184 § 1

Kto zęca się fizycznie lub moralnie nad członkiem swej rodziny lub nad inną osobą pozostającą w stałym lub przemijającym stosunku zależności od sprawcy albo nad małoletnim lub osobą bezradną — podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5.

Art. 234 § 1

Kto dopuszcza się czynnej napaści na funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej lub innego organu powołanego do ochrony porządku i bezpieczeństwa publicznego, w związku z pełnieniem obowiązków służbowych — podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8.

Art. 166 § 1

Kto grozi innej osobie popełnieniem przestępstwa na jej szkodę lub szkodę najbliższych, jeżeli groźba wzbudza w zagrożonym uzasadnioną obawę, że będzie spełniona — podlega karze pozbawienia wolności do lat 2, ograniczenia wolności, albo grzywny.

Art. 60 § 1

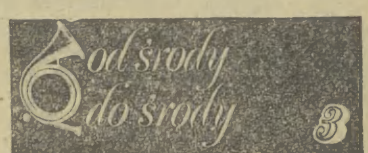
Jeżeli sprawca skazany za przestępstwo umyślne na karę pozbawienia wolności popełnia w ciągu 5 lat po odbyciu co najmniej 6 miesięcy kary — umyślne przestępstwo podobne do przestępstwa, za które był już skazany, sąd wymierza karę pozbawienia wolności w granicach od połowicznej wysokości dolnego zagrożenia do naj-

wyższego ustawowego zagrożenia zwiększonego o połowę.

Prokurator wnioskował — za pierwszy czyn (zęcanie się nad rodziną) 2 lata pozbawienia wolności, za drugi (czynną napaść na funkcjonariusza) 2 lata, za trzeci (groźbę bratowej żony) — 1 rok; kara łączna — 4 lata pozbawienia wolności.

Obróca — domagał się uniewinnienia, a w razie skazania łagodnego wyroku.

Oskarżony w ostatnim słowie — wniósł o najłagodniejszy wymiar kary. A jaki wy wydalibyscie wyrok w tej sprawie znając stan faktyczny, okoliczności oraz dysponując przytoczonymi artykułami z kodeksu karnego? Czekamy na wasze listy, uwagi i wnioski. Problem zęcania się przez pijanych najeźdźców meżów nad swymi żonami, dziećmi, bliskimi jest niestety wciąż nabrzmiały, wymagający skuteczniejszych niż dotychczas rozwiązań. Łatwiej na to, że propozycje zawarte w naszych listach (będziemy je publikować, lecz powinny nadejść do redakcji do 22 bm.) przyczynić się do poprawy istniejącego stanu rzeczy. Piszcie pod adresem redakcji „Gazeta Krakowska”, Kraków, Wielopole 1 z dopiskiem: „Wszyscy jesteśmy sędziami”.



TAJEMNICA BURSZTYNOWEJ KOMNATY

Kilkanaście mil na północ od Łeby, na dnie Bałtyku spoczywa wrak niemieckiego transportowca „Wilhelm Gustloff” storpedowanego pod koniec wojny przez radziecki okręt podwodny. Ostatnio dużo się o tym wraku mówi. Dlaczego? Głębin morskie, nie tylko Bałtyku, kryją po dziś dzień niedjeń zatopiony okręt z czasów ostatniej wojny, czemu więc koncentruje na sobie uwagę właśnie „Wilhelm Gustloff”? Zanim Czytelnikom odpowiem na to pytanie, wpierw przypomnę pokrótce, jak rozegrał się finał ostatniego rejsu tego statku.

Jest styczeń 1945 roku. W porcie gdyńskim nabrzeżne magazyny i hangary zatłoczone są kobietami, dziećmi, starcami. Wszyscy coraz natarczywiej domagają się umożliwienia im wyjazdu. Obok okrętów hitlerowskiej Kriegsmarine: krążowników, niszczycieli, torpedowców i trałowców stoją statki pasażerskie: „Cap Arcona”, „Hansa” i kilka mniejszych parowców. Wśród nich duży, 9-pokładowy transportowiec „Wilhelm Gustloff” o wyporności blisko 25,5 tys. ton, czyli dwukrotnie większy od naszego „Batorego”. Niemiecki motorowiec zbudowany został w 1937 roku specjalnie dla celów turystyki morskiej. Nosił miano „pływającego miasta”. Turysty odbywali na nim podróże na Maderę i Wyspy Kanaryjskie. Statek mógł zabierać 1800 pasażerów. Teraz ma przetransportować 4 tys. ogarniętych paniką SS-manów i żołnierzy marynarki wojennej, pragnących uciec przed nacierającymi wojskami Armii Czerwonej.

Na statek tłoczy się także ludność cywilna. Nie brak hitlerowskich dygnitarzy ze swoimi rodzinami. Im chyba najbardziej pali się ziemia pod nogami. Nie zapominają jednak o ciężkich, pełnych kosztowności walizkach. Ponieważ wszystkie miejsca są już zajęte — dla nadburmistrza Gdyni z żoną i 10 dzieci przeznaczają się apartament rezerwowany stale dla Hitlera. Nie kończy się na ustalonej uprzednio liczbie 4 tys. pasażerów. Pryśka przysłowiowy niemiecki „Ordnung”. Na pokład „Gustloffa” wcisnęło się blisko 7 tys. osób. Zajmują każde wolne miejsce. Połowa z 375 dziewcząt służących jako Marinenhelferinnen zostaje ulokowana w opróżnionym z wody basenie kąpielowym na najniższym pokładzie. Zapchane są także sale i kabiny. Pasażerowie, wbrew przepisom, zajmują korytarze. Walizy i tobole tarasują wszystkie przejścia. Przed trzema dniami

dantejskie sceny. Pozostałe na ładzie tłumy Niemców zaciekle walczą, aby tylko znaleźć się na statku.

Wreszcie 30 stycznia „Wilhelm Gustloff” odbija od nabrzeża portu gdyńskiego. Cel podróży: Kilonia i Flensburg. W każdym z tych portów należy wyładować po połowie pasażerów. Na wysokości Rozewia, pasażerowie otrzymują kolację. Na morzu — mroźny, zimowy wicher. Głosniki transmitują przemówienie Hitlera. Dwanaście lat temu 31 stycznia 1933 roku doszedł do władzy. Dziś wzywa do obrony, zapewnia o zwycięstwie. Zegar wskazuje dokładnie godzinę 21.10. Statkiem wstrząsa gwałtowne uderzenie i w tej samej chwili rozdziera uszy potężny huk. Następuje drugie uderzenie, trzecie, seria potwornych wybuchów. Gaśnie światło. Ludzie zrazu zamierzają z przerażenia odurzeni są dymem od wybuchu torped. Potem ogarnia ich śmiertelna panika. Dowództwo statku wysłało w eter sygnały SOS, ale pomocy nie widać. Nikną szanse ocalenia. Rozdarty torpedami kadłub „Gustloffa” zanurza się coraz głębiej w wodzie i coraz głośniej przechyla się. Ludzi słoczonych na dolnym pokładzie spacerowym zalala już woda. Kapitan wydaje rozkaz: „Ratuj się kto może”. Na nic już nie można liczyć. Pomoc, która w końcu nadchodzi, jest spóźniona. Ocalono tylko około 800 rozbitków. Ponad 6 tysięcy ludzi pochłonęło morze, tworząc największy na Bałtyku podwodny cmentarz.

Władze polskie wkrótce po wyzwoleniu Wybrzeża dowiedziały się z pozostawionych źródeł niemieckich, iż na dnie Ławicy Słupskiej leży wrak „Wilhelma Gustloffa”. Żadne względy nie przemawiały jednak za wydobyciem go na powierzchnię. Nie zagraża bezpieczeństwu żeglugi, gdyż znajduje się na głębokości 43—46 metrów, wątpliwe jest również, z punktu widzenia opłacalności ekonomicznej, podnoszenie go np. w celu pozyskania złomu.

O statku tym zaczęto dopiero mówić coraz głośniej z chwilą, gdy zaistniały pewne poszlaki wskazujące na to, że mogą mieć z nim związek losy „bursztynowej komnaty”. Przypomnę, że było to najsłynniejsze tego typu dzieło w świecie, nazywane „ósmym cudem świata”, które wykonano zostało w latach 1703—1763 przez artystów kołpinhaskich, gdańskich i królewieckich. Bursztynowa komnata

zdobiona pałac carycy Katarzyny II w Carskim Siole (obecnie Puszkino koło Leningradu) zrabowana została przez Niemców w 1942 r. Szacowali oni wyposażenie komnaty na 50 milionów dolarów.

Skarb ten — jak zeznał przed polskim trybunałem na swym procesie były gauleiter Prus Wschodnich Erich Koch — przewieziony został podczas blokady Leningradu w 12 wielkich skrzyniach w okolicy Królewca i tam złożony w głębokim, podziemnym bunkrze. Ekipy saperów radzieckich dotarły po wojnie do wskazanego bunkra, lecz jego wnętrze było puste... Koch zeznał później, że wobec tego „bursztynową komnatę” ewakuowano pewnie wraz z cofającymi się wojskami do Gdańska. Stąd mogła ona być wywieziona do Niemiec jedynie drogą morską, jako że lądowe połączenie na zachód w styczniu 1945 roku było odcięte. Istnieją przeto przypuszczenia, że statkiem, na który załadowano bezcenne dzieła sztuki z Carskiego Sioła, był prawdopodobnie właśnie transportowiec „Wilhelm Gustloff”. Przemawiają za tym relacje naczynych świadków, którzy stwierdzają, że wycofujący się z Gdyni hitlerowcy załadowali na „Gustloffa” w ścisłej tajemnicy kilkanaście skrzyń, zanim oczywiście zaczęli wsiadać pasażerowie.

Cóż może przynieść odpowiedź na tę pasjonującą zagadkę? Zejście na dół — w miejsce zatopionego statku. Tak też postanowili uczynić pletwonurkowie ze studenckiego klubu „Rekin” przy Politechnice Gdańskiej. Gdy przyjechałem do Gdańska okazało się, że ekipa pletwonurków pod wodzą inżyniera Jerzego Janczukowicza już wyruszyła na Bałtyk.

Trafiłam więc do Gdańskiego Urzędu Morskiego, gdzie zastąpił dowódcę całosci podwodnej wyprawy kapitana ż.w. Rajmunda Pająkowskiego. Ma on w tej akcji do dyspozycji statek hydrograficzny GUM „Koziorożec” i statek „Czapla” przystosowany do pracy nurków. Wstępnego rozpoznania, przed zejściem pletwonurków z klubu „Rekin” dokonują nurkowie z Polskiego Ratownictwa Okrętowego, którzy mają za zadanie dokładne zlokalizowanie wraku.

Kapitan Pająkowski co tylko wrócił właśnie z miejsca akcji i ma nagrany na taśmie magnetofonowej relację nurka Feliksa Łaszczyka, przekazywaną bezpośrednio z 25-minutowego pobytu

pod wodą, z miejsca, w którym leży zatopiony „Gustloff”. Mam dobrą widzialność — melduje Łaszczyk — znajduje się na części rufowej wraku. Zanurzona jest dość znacznie w piasku, wokół widzę bielejące czaszki ludzkie, kości, na pischczelach jednogoz z kościotrupów trzymają się jeszcze żołnierskie buty.

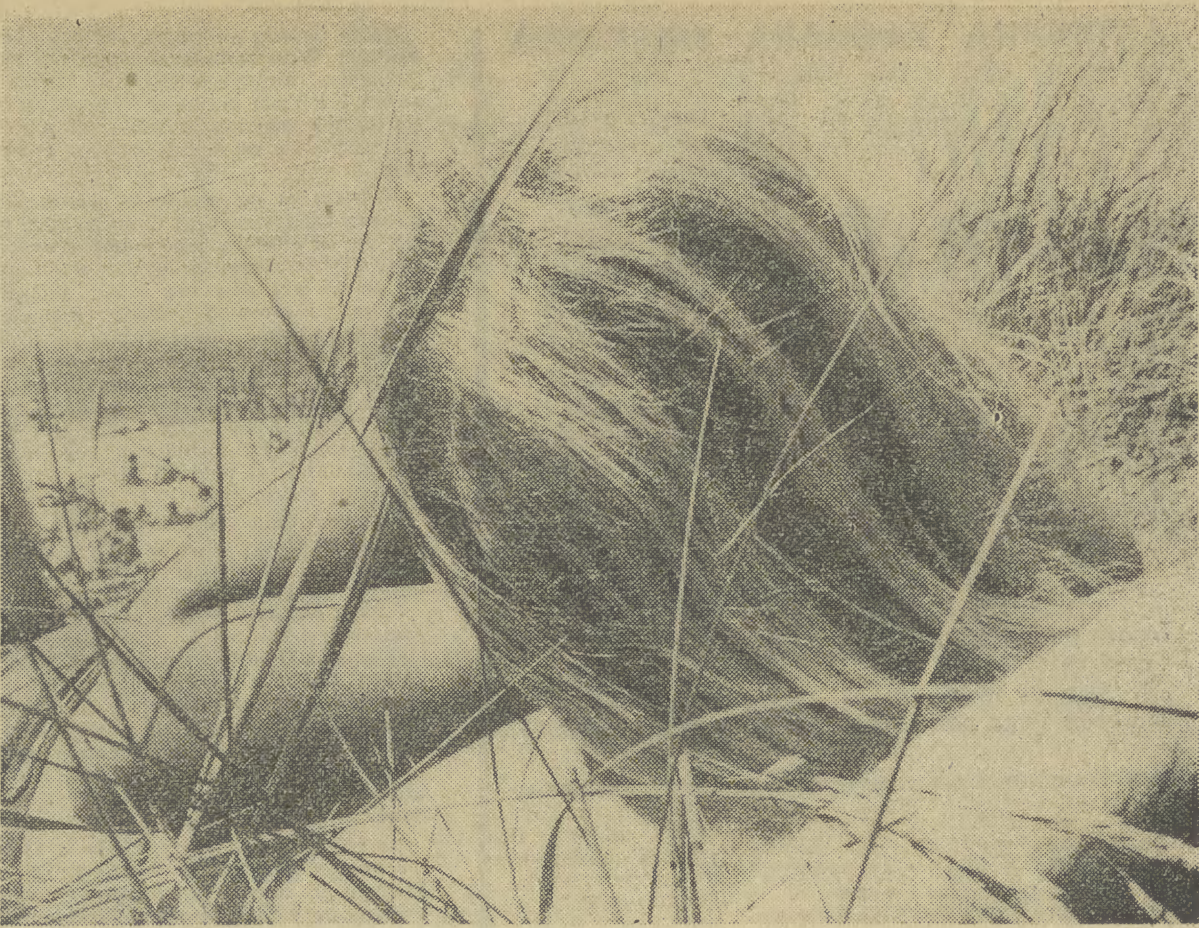
Łaszczyk nie był jednak pierwszym polskim nurkiem, który dotarł do wraku. Znacznie wcześniej — bo w roku 1956 — schodził pod wodę co najmniej 10-krotnie znany nurek PRO Bronisław Sadowy. Stwierdził on wówczas, że „Gustloff” na skutek storpedowania uderzył w dno dziobem i przelamany został na trzy części. Oddzielnie leży część dziobowa, śródkreście i rufa. To nie wszystko. Podwodne oględziny wykazały, że był tu ktoś jeszcze wcześniej... Zauważono bowiem w okolicy sterowni wycięte palnikami otwory. Czyżby to był ślad po poszukiwaczach bursztynowej komnaty? A może liczyl na znalezienie kosztowności jakie mieli w swych bagażach pasażerowie „Gustloffa”?

Medytujemy właśnie o tych sprawach w Gdańskim Urzędzie Morskim, który jest również zainteresowany sprawą wraku niemieckiego transportowca. Ale od innej strony. Dotychczas — mówi naczelnik wydziału hydrograficznego GUM Eugeniusz Zielonko — „Gustloff” nie zagrażał bezpieczeństwu żeglugi. Teraz jednak na Bałtyku pojawiają się coraz większe statki o dużym zanurzeniu. Trasa, na której leży wrak, pływają będą niedługo 100-tysięczniki obsługujące Port Północny. Gdański Urząd Morski ma więc obowiązek sprawdzenia czy przypadkiem nie są anowit zagrożenia jakiegoś elementu zatopionego transportowca np. maszyn, których wierzchołki mogą znajdować się niezbyt głęboko pod wodą. Bałtyk jest morzem płytkim, dlatego należy się liczyć z ewentualnością takiej właśnie podwodnej przeszkody.

Podajmy więc — wyjaśnia naczelnik Zielonko — wspólne działanie z gdańskimi pletwonurkami. Spróbują oni, przy naszej pomocy technicznej i fachowej, zajrzeć do wnętrza wraku i równocześnie ustalić czy „Gustloff” nie zagraża bezpieczeństwu żeglugi dla dużych statków.

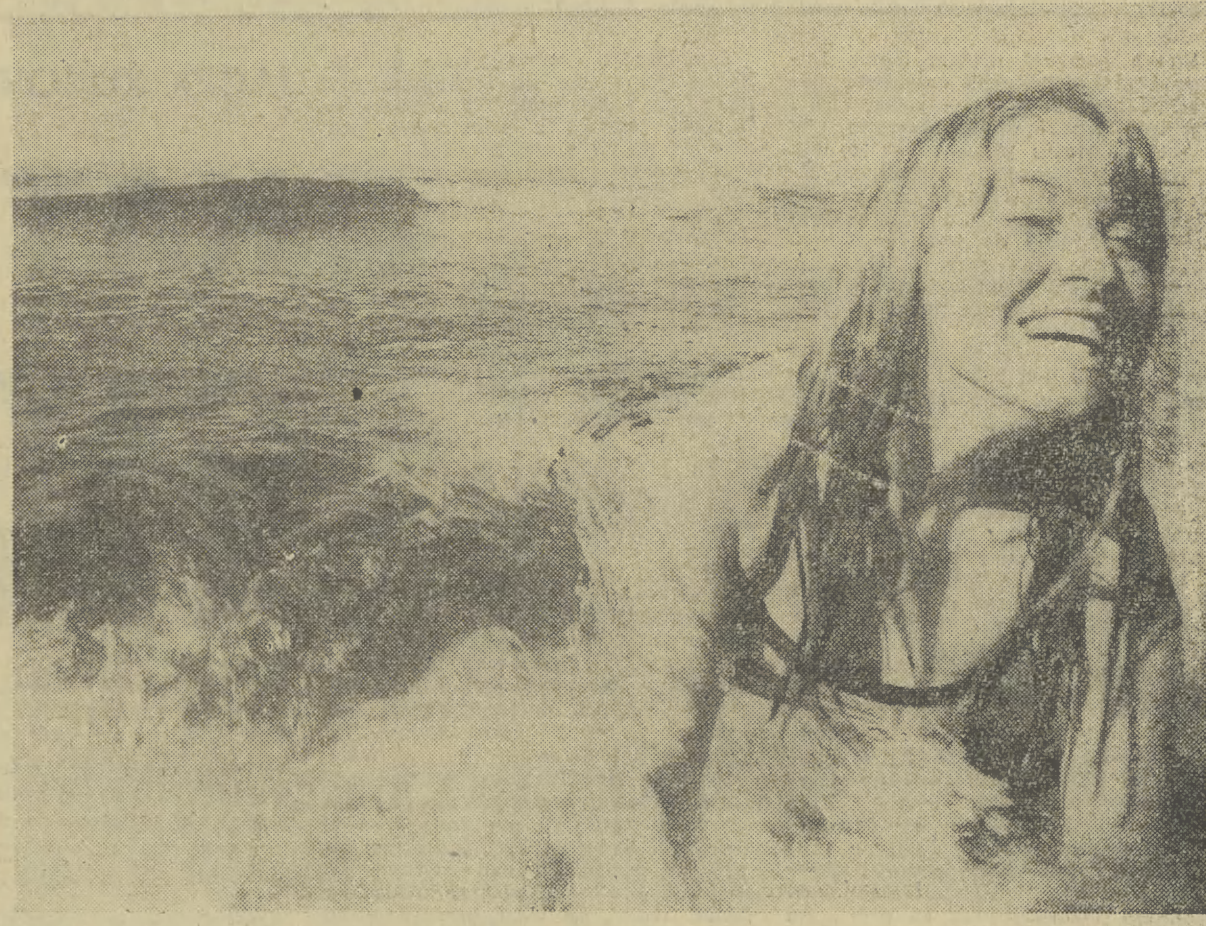
Czekamy zatem na wyniki tej frapującej podmorskiej wyprawy.

TADEUSZ STEC



NADMORSKA FANTAZJA

FOT.: BOGUMIŁ OPIOŁA



TŁUMY NA JARMARKU

Nuncjusz Giulio Ruggieri, który w 1568 roku odwiedził Gdańsk, tak relacjonuje swoje wrażenia: „W miesiącu czerwcu odbywa się tu wielki jarmark... czterdzieści dni i dłużej trwający, na którym zbierają się Niemcy, Francuzi, Flamandowie, Anglicy, Hiszpanie, Portugalczycy i wtedy zawija do portu przeszło 400 okrętów, załadowanych winem francuskim i hiszpańskim, jedwabiami, oliwą, cytrynami, konfiturami i innymi płodami hiszpańskimi, korzeniami portugalskimi, cyną i sukrem angielskim. Zastają w Gdańsku magazyny pełne pszenicy, żyta i innego zboża, lnu, konopi, wosku, miodu, potażu, drewna do budowy, solonej wołowiny i innych drobniejszych rzeczy, którymi kupcy rozładowane swoje okręty na powrót ładują, co się odbywa w pierwszych ośmiu dniach targu, a w ostatnich ośmiu i przez cały rok przybývają do tego miasta nie tylko kupcy krajowi, ale wiele innych osób, dla zaopatrzenia swoich sklepów lub domów w wino, sukna, korzenie i inne potrzebne rzeczy”.

Mowa o tradycyjnym gdańskim Jarmarku Dominika. Przed rokiem wznowiono tę piękną i niezmiennie interesującą dla turystów imprezę, która weszła na stałe do repertuaru atrakcji grodu nad Motławą.

Początki jarmarku wiązały się z odpustem w dniu św. Dominika (4 sierpnia) przyznany w roku 1260 przez papieża gdańskim dominikanom. Zakon ten został sprowadzony z Krakowa. Pierwotnym terenem jarmarku był plac Dominikański, a z biegiem czasu, gdy targ stawał się coraz głośniejszy, przenosił się na inne place miasta. A placów targowych w Gdańsku sporo, więcej, niż w jakimkolwiek innym mieście. Jest więc Długi Targ, Węglowy, Drzewny, Rybny, Maślany, Kaszubski, Jagodowy, Rakowy, Sieny, Bydłecy, Koński, Żelazny, Chlebowy, Wąchany i pomiędzy Ratuszem i Dworcem Artusa — targ na... prosiaki.

Podczas jarmarku handlowało się wszędzie i wszystkim. Wyroby rzemieślników można było kupować w warsztatach lub prowadzonych przez bogatych mistrzów sklepach. Kramarze dzierżawili od kamieniczników piwnice pod przedprozami, albo ustawiali stragany, kramy lub budy. Mięso sprzedawano w ławach mięsnych. Ławę te stały przy ul. Mariackiej i składały się z 80 jatek, podzielonych na cztery ciągi: „Plebański”, „Dominikański”, „Wodny” i „Zebaczy”. 40 ław posiadał piekarnicy. Oprócz tego piekarze i cukier-

nicy zatrudniali pośredników — kobiety, wyrostków i dziewczęta, którzy roznosili po mieście wyroby.

Jarmark Dominikański nie ograniczał się do handlu. Przez dwa tygodnie miasto święciło radosny festyn pełen imprez i atrakcji. W Dworze Bractwa św. Jerzego w Zielonej Bramie, Szkole Sermierczej, w Ratuszu, czy też na prowizorycznych estradach pod gołym niebem, występowały trupy wędrownych aktorów. Gdzieś tam przygrywali grajkowie a rzemieślnicy i filisacy improwizowali ludowe tańce.

Ta wielka impreza handlowa przetrwała do wybuchu II wojny światowej. Potem nastąpiła przerwa i dopiero przed rokiem z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Gdańska i redakcji „Wieczoru Wybrzeża” zorganizowano pierwszy po wojnie jarmark. W bieżącym roku Jarmark Dominikański został połączony z Dniami Gdańska i trwa od 4 do 19 sierpnia.

Przez kilka dni brałem udział w gdańskiej imprezie. Muszę przyznać, że impreza wywarła na mnie pozytywne wrażenie.

Najpierw część handlowa. Organizatorzy przyjęli żelazną zasadę, że na jarmarku może znaleźć się tylko towar, który oferuje się do sprzedaży. Uniknięto w ten sposób nieporozumień i rozgoryczenia — co miało m. in. miejsce w Krakowie podczas imprezy 22 Lipca, kiedy wystawiono wiele atrakcyjnych towarów, ale tylko jako ekspozycje. Ludzie kłeli głośno patrząc na półki pełne nieosiągalnych towarów. W Gdańsku jest inaczej. Miasto zadbało o poważną porcję dodatkowych przydałów. Działacze długo stukali w centralnych urzędach, aż minister przemysłu lekkiego objął patronat nad jedną z imprez jarmarku — festiwalem mody — i przydzielił dla Gdańska znaczną ilość atrakcyjnej odzieży, obuwia, dziewiarskich tkanin, galanterii odzieżowej i skórzanej.

Na ul. Szerokiej ustawiono blisko 50 straganów. Jest w czym wybierać. W pierwszym dniu obrot handlu społecznie osiągnął 600 tys. zł. Największy ruch panował przed stoiskami: obuwniczym, dziewiarskim i gastronomicznymi. Smakoszki rozkoszowali się specjalnościami kuchni gdańskiej, zrazem dominikańskim, czy też schabem po gdańsku.

Wspaniale prezentuje się inna część jarmarku — ulica Mariacka. Na wszystkich przedprozach rozgościli się rzemieślnicy różnych specjalności, artyści ludowi, kwiatciarz, młodzież studencka. Środkiem ulicy płynie nieprzerwanie tłum ludzi. Obiegają się wytwórcy wyrobów z metaloplastyki, bursztynu i wicklin. Ludowi artyści sprzedają drewniane światki, młodzi malarze wystawiają obrazy.

Najbardziej żywiołowy jest jednak „targ perski”. Gwałt czyni głównie mło-

dzień, która w pomysłowy sposób zachęca do kupna nawet bezwartościowych drobiazgów. Sprzedaje moździerz, żelazka na węgiel drzewny lub dusze, samowary, figurki lub naczynia porcelanowe, książki, roczniki pism, nuty, płyty, znaczki i monety. Ta część miasta przypomina prawdziwe targowisko na Bliskim Wschodzie. Atmosferę oddaje fragment piosenki wykonywanej na jarmarku przez gdańską kapelę podwórkową:

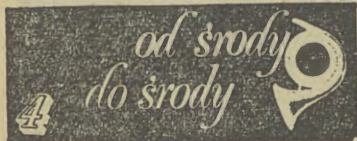
Dziadek — w końcu Mariackiej:
sprzedaje cuda jeszcze
z wojny austriackiej

Babcia — ma ruch na „łapciach”
i pan artysta
też otworzył własny kram.

Oprócz części handlowej goście jarmarczni biorą udział w wielu imprezach artystycznych, m. in. w przeglądzie folkloru gdańskiego i festiwalu mody. Szczególnie ta ostatnia impreza jest mądrze pomyślana. Organizatorzy zawarli spółkę ze stale reklamującym się „Polskim Lnem” i zrobili z festiwalu mody atrakcyjne widowisko, na które wali tysiące mieszkańców Gdańska, turystów krajowych i zagranicznych. Znany piosenkarz Piotr Janczowski wraz z zespołem „Bractwo Kurkowe 1791”, zespołem baletowym „A” z Teatru Wielkiego w Łodzi, piosenkarką Ireną Jarcową oraz dużym zespołem modelek i modeli, prezentują wyroby 80 zakładów produkcyjnych. Wszystko odbywa się dynamicznie, przy dobrej muzyce, w znakomicie przygotowanych pomieszczeniach. W jednym wyjściu bierze udział 15 do 20 modeli. To się da oglądać i słuchać. Jakże inna jest ta forma od prezentowanej zwykle w Krakowie. Pokaz nasz wygląda i niej więcej w ten sposób, że modelka przemierza kilka razy estradę lub wybieg przy kameralnym akompaniamencie z taśmą, a paronowie Polek lub Cichalewski odczytują z kartki tasienkowe dane stroju i procenta. Po dwóch lub trzech takich wyjściach, publiczność ma już dość i ziewając odchodzi.

Gdańszczanie mają większe ambicje. Twierdzą, że tegoroczny festiwal to początek dużej imprezy. Festiwal mody 1974 — stanie się imprezą międzynarodową, a pokazy mody i stale ekspozycje będą prezentować dorobek wszystkich krajów nadbałtyckich. Gdańsk, który w ostatnim czasie uzyskał dogodne połączenia promowe z Finlandią i NRF, most powietrzny ze Sztokholmem, posiadający tradycyjne związki z Leningradem i Rostockiem ma wielkie szanse ku temu, aby stać się letnią stolicą mody dla państw nadbałtyckich.

ZBIGNIEW SATALA





Dla Technikum w Czernichowie

Nowa sala gimnastyczna

Sala gimnastyczna budowana dla Technikum Rolniczego w Czernichowie, będzie drugą szkolną halą sportową w województwie o wymiarach zgodnych z normami międzynarodowymi. W przyszłości umożliwi organizowanie tam zawodów o międzynarodowej randze.

W tej chwili radość musi być umiarkowana, gdyż budowa nie wyraża jeszcze z ziemi. Krakowskie Przedsiębiorstwo Robót Elewacyjno-Budowlanych, którego ekipa buduje cały zespół obiektów dla Technikum, zakończył wykopy ziemne pod fundamenty sali gimnastycznej i po przyjęciu

tych prac przez nadzór autorski przystąpi do zakładania ław fundamentowych. Inwestor tego obiektu — WZIR z poważnym opóźnieniem zlecił podwykonawcy przygotowanie dźwigarów specjalnego typu, które stanowią będą podciąg dla ramy nośnej stropu. Ołbrzymia rozpiętość tego stropu wymaga również odpowiedniego uzbrojenia ramy nośnej, która posiadać będzie przekroje metrowej szerokości.

Jednym słowem budowa ta przysparza wykonawcom wiele kłopotów i przewiduje się już obecnie opóźnienia w oddaniu obiektu do użytku. (ag)

Dobra robota
załogi WPRK

Wodociągi
dla Skawiny

Na szczycie wzgórza, zamykającego od południa teren Skawiny wyrasta ważna budowa. Zbiorniki zasilające dla wodociągów miejskich. Budowa żelbetonowych kołosów jest trudnym przedsięwzięciem inżynierskim. Aby uzyskać potrzebną dokładność i szczelność pancerza żelbetonowego, roboty betonarskie muszą tu być wykonane w sposób ciągły. Brygada Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Robót Komunalnych w systemie trójzmiennym, nieprzerwanie cztery doby wykonywała pancerz pierwszego z dwu wielkich zbiorników.

W chwili, kiedy masa betonu osiągnęła „kolejny” budowlany, na rusztowaniu zastąpił organizator tej technicznej operacji, kierownika KGR-2 inż. Konrada Markiewicza, kierownika robót inż. Andrzeja Weinheimera, mistrzów budowy Łukasza Kasińskiego i Antoniego Kowalskiego. W ofiarnej robocie szczególnie wyróżnili się betoniarze brygady Antoniego Gacka, Franciszek Bierowiec, Jan Karpiusz, Stanisław Sochacki, Stanisław Porebski, Czesław i Stanisław Filasow, Władysław Mazgaj i inni. Szczególnie ofiarnie pracował tu Antoni Regulski.

Dyr. Zjednoczenia inż. Teresa Nitkiewicz i dyr. WPRK Henryk Maćkowiak gratulują załozce dobrej roboty. Na gorąco, z załogą przygotowują plan skrócenia terminu tej ważnej budowy. (J.Rat.)



Co tydzień zmieniają się młodzieżowe zespoły muzyczne koncertujące w krakowskim Non-Stopie. Obecnie występują tam „Wawe” — zespół zorganizowany przy ZD ZMS Śródmieście, który m. in. reprezentował młodzież naszego miasta na berlińskim festiwalu młodzieży. Wszystkich sympatyków muzyki młodzieżowej zapraszamy więc do Non-Stopu tym bardziej, że można tam nie tylko posłuchać, lecz także wziąć udział w atrakcyjnych konkursach z nagrodami, czy też oglądać pokazy mody młodzieżowej.

Fot. J. Podlecki

Nowi lokatorzy
krakowskiego ZOO

Lipiec był szczęśliwym miesiącem dla krakowskiego ZOO. W odstępie kilku dni przyszły na świat dwa młode lamparty i dwa jaguary. Maluchami troskliwie opiekują się ich matki i... pracownicy ogrodu zoologicznego.

W okresie odchowu publiczność nie będzie mogła oglądać młodych drapieżników. Decyzja taka podyktowana została troską dyrekcji ZOO o zapewnienie prawidłowego rozwoju tych rzadkich okazów zwierząt.

Krakowskie lamparty i jaguary są jedynymi parami hodowanymi w Polsce, dającymi regularny przychówek (od r. 1971 urodziło się 12 kotów). Sporadyczne przypadki narodzin lampartów i jaguarów odnotowano jednak w ogrodach zoologicznych w Warszawie i Oliwie.

Jednocześnie informujemy o rozstrzygnięciu konkursu na imię żubrzej cieliczki — nowej młodej mieszkanki krakowskiego ZOO. Spośród nadesłanych 260 propozycji wybrano imię „Zorza”. Fakt urodzin i imię krakowskiej pupilki zostało wciągnięte do Księgi Rodowodowej Żubrów — Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubrów. (ga)

Podczas pobytu w Polsce nie miała stałego miejsca zamieszkania, nigdzie nie pracowała, zaś kilkakrotnie wyjeżdżała do NRD i NRF. Uprzednio zatrzymana była na terenie NRF i w Polsce jako podejrzana o dokonywanie kradzieży kieszonkowych. Śledztwo w tej sprawie trwało 10 dni. (2)

Miedzynarodowa złodziejka z Montevideo
zatrzymana na krakowskim dworcu

Prokurator powiatowy dla dzielnicy Śródmieście w Krakowie wniósł do sądu akt oskarżenia przeciwko Leokadii Łukasz-Majewskiej, która na dworcu kolejowym w Krakowie usiłowała dokonać kradzieży. Przybyła ona do naszego kraju w ub. roku na podstawie paszportu konsularnego wystawionego w Montevideo. Podczas pobytu w

Podczas pobytu w Polsce nie miała stałego miejsca zamieszkania, nigdzie nie pracowała, zaś kilkakrotnie wyjeżdżała do NRD i NRF. Uprzednio zatrzymana była na terenie NRF i w Polsce jako podejrzana o dokonywanie kradzieży kieszonkowych. Śledztwo w tej sprawie trwało 10 dni. (2)

Niedoinformowanym
w odpowiedzi

Trzej panowie reprezentujący PKP zaprosili mnie na Dworzec. „Notatka o informacjach była niesłuszna i krzywdząca. Pokażemy jak jest naprawdę”.

Zarzut był trzy — brak tablic z rozkładem jazdy, nieczynne budki „Informacji”, bełkot megafonów — posłaliśmy więc „obłąkał zarzuty” kolejno.

Tablice się znalazły. Nie tylko przy wejściu, ale i na każdym peronie. Co prawda niezbyt wieczorem widoczne, ale będą miały na „ślepych” ściankach duże napisy „Rozkład jazdy”. W przygotowaniu są wielkie tablice elektroniczne — inwestycja przyszłego roku.

W pomieszczeniu informacji telefonicznej cztery telefony, osiem wejść z budek peronowych i... jeden pracownik na nocnym dyżurze. Stanowczo za mało. Dylematy: kiedy dzwoniła równocześnie telefon i świecą światła z budek (sygnał dzwinkowy dy-

żurni z reguły wyłączają) co najpierw odbierać? Czy zgłaszać się, jeżeli dwa poprzednie wezwania pochodziły od w. osłków „zabawiających” się rzucaniem Informatorom ordynarnych wyzwisk? Pytam — czy komisariat dworcowy MO lub S. nie mógłby interweniować?

Pani zapowiadająca przez megafon mówi tego dnia wyraźnie. Ale nazwisko pracownicy, która w opisywany wieczór miała dyżur wywołuje wśród oprowadzających mnie po Dworcu panów jednoznaczne komentarze. „Ach tak... mieliśmy do niej już parokrotnie pretensje...”

Nie jest łatwo na Dworcu Głównym zwłaszcza w lecie, zwłaszcza w balaganie jaki wprowadzają przechodzący wtedy mieszkańcy miasta, którym budowa pod Dworcem zagroziła drogę. Ale chyba nikt tu nie przypuszczał, że będzie łatwo. Tak już jest z tą pracą na kolei — trudna ona i niewdzięczna. (ban)

„Przychodzi syn przy końcu roku ze świadectwem do domu. Rodzina. Ojciec się go pyta: „No pokaz świadectwo, jak wygląda?” „Oj Tato — mówi syn — najważniejsze żebyśm zdrowi byli”. Hee. Haa. Hii. Intelktualści po każdym, tak finezyjnym

Kiedyś mistrz w rzucaniu kulą — Władysław Komar, człowiek niezwykle dowcipny dowiódł red. Jackowi Zemantowskiemu, że jest — delikatnie mówiąc — mało błyskotliwym facetem. Teraz znów architekt pokpił z redaktorów.

Hi, he, ha. Mój kolega opowiada taki dowcip:

— Na pewno wiesz, co to znaczy „cogito, ergo sum”?

— „Myślę, więc jestem”!

— No, a „cogito, ergo sum?”

— ???

— „Myślę, więc jestem”!

Ha. He. Ho. Hii. Mój kolega pragnie wystąpić w teatrze. Pt. „Trudna sztuka opowiadania dowcipów”.

P.S. Tygodnik „Przekrój” opublikował wywiad ze Sławomirem Mroczkiem! Sławku, żałuj, że nigdy nie opowiadałeś dowcipów w TVP!



Przedstawiamy:
Andrzej CzeCzoT

Przedstawiamy dziś b. skromny wybór rysunkowej twórczości Andrzeja CzeCzota. Skromny dlatego, że CzeCzoT jest rysownikiem bardzo płodnym; nie ma prawie numeru „Szpilek” bez niego, karykatury jego zamieszcza systematycznie „Polska”. „Ty i ja” — miesięcznik, w którym debiutował, poświęca mu chętnie miejsce na swych łamach. Charakterystyczne jest to, że CzeCzoT lubi wypowiadać się jako humorysta nie tyle pojedynczym rysunkiem, co całymi historyjkami, w których z właściwą sobie przekorą i beztępidnym poczuciem śmieszności obnaża nonsense, absurd, obyczajowe słabości.

CzeCzoT jest dwukrotnym laureatem „Złotej Szpilki” (1971 i 72) w dziale karykatury obyczajowo-humorystycznej. Został też nagrodzony na II Biennale Rysunku bez Podpisu (patrz rys. 1) w Lublinie — 1971.

Przebiegły sukces przyniosły mu ilustracje do „Przygód dzielnego wojaka Szwajka”. Otrzymał za nie najwyższe możliwe uznanie — nagrodę specjalną na Międzynarodowym Biennale Ilustracji, które odbywało się w ojczyźnie Szwajka.

U lekarza



Rysunki: „Polska” i „Szpilki”

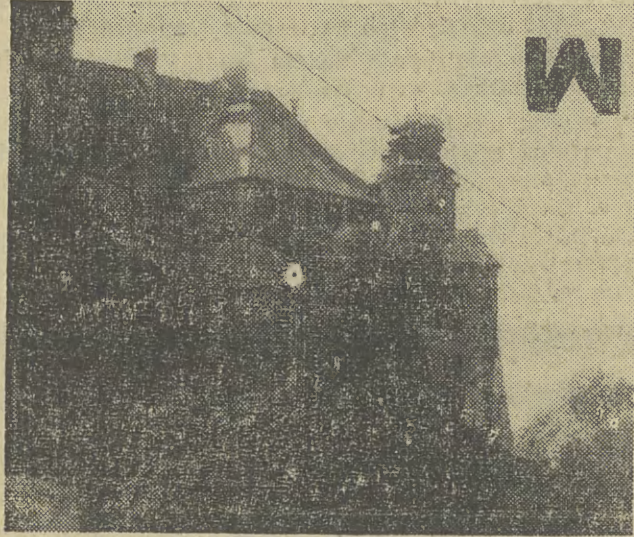
Krakowski baedeker

czyli

zbiór najrozmaitszych różności które absolutnie nie mogą być
pomocne przy zwiedzaniu miasta

UNIwersytet
Jagielloński

Mater Alma nie tylko w przemowach okazjonal-



nym mówców (notabene nazwa nie zawsze trafnie używana), ale i faktycznie matka karmiąca; większość krakowskich uczelni to u-samodzielnione (i rozbudowane) wydziały UJ. Dla u-

rozmaicaenia uroczystych okazji podajemy wynotowane z Kalendarza uroczystości roku fundacyjnego uroczyste określenie: nauk przemownych perla (margaritas scientiarum), orzeźwiający źródło wiedzy. Złazszcza tę Małgorzatę scenyści polecamy.

WAWEL

Ochranianie przyrody lamentują, jakie to Tatry za-deptane góry. Nie pomyśleli o wzgórzu wawelskim, a rychło patrzeć, jak wywoły językoznawców o tym, że słowo Wawel oznaczało kiedyś wawóz — będą odpowiadać rzeczywistości. Trudno się wycieczkom dziwić, że chcą w świetle dnia obejrzeć największego aktora imprezy światła i dźwięku na święto „Gazety”. „...kamień tam gada i dziwy powiada o dawnej wielkości...” — rymowała Konopnicka o naszym narodowym sanktuarium.

Kierownicza cała w nerwach, bo stara się, a tu ciagle śniadanie, mleko przypalone i tak dalej. I wreszcie wieczór zapowiadamy: dziewięćdziesiąt procent pań, dziesięć procent panów. No, ale dzwoni o pabliskiego — mam nadzieję, że nie zdradzą

godzinie maszeruje z pieśnią na ustach oddział marynarzy. Kierownicza szczęśliwa, liczy, patrzy, ale trochę jej mało jest. Obliczyła trzydziestu. No, dobre i to, ale dzwoni jeszcze raz do komandora: „Panie komandorze, jakaś pomyłka nastąpiła. Mówiłam, że

Brunon Rajca

(Rajcujemy na A-B w środy)

TRUDNA SZTUKA

tajemnicy wojskowej — do pobliskiego garnizonu i mówi: „Panie komandorze, niech pan ratuje, mamy wieczonek zapoznać, bardzo prosimy, jest sto pań prawda i dziesięciu panów. Niech nas pan poratuje, proszę coś zrobić”. Komandor mówi „dotrze, w porządku, zrobi się”. I rzeczywiście o oznaczonej

ma być stu”. Komandor mówi: „przykro mi bardzo, ale manewry i tak dalej, nie mogę więcej dać. Nie chciałem panią uspokoić uszyjszy byli sześć tygodni w morzu”. Haa. Hii... Hae. Inteligentny, subtelny dowcip o handlu. Haa. Niemniej udany był żart o dzieciach. I znów red. Adam Wysocki:

humorku, oklaskiwali się nawzajem i zapewniali uszem, że gotowi są — poza konkursem — opowiedzieć jeszcze kilka innych równie zabawnych anegdot.

Nie pierwszy to wypadek, kiedy wstydzić się publicznych występów niektórych ludzi zajmujących się dziennikarstwem.



ŁUDZIE ROSNĄ

Fot.: Cz. BREIT